DWUTYGODNIK POLITYCZNY

RZECZPOSPOLITA

Nr. 48.] SOBOTA 18. LUTEGO 1911. [Rocznie......10 K (4 Rb., 8 Mk. [Półrocznie 5 K (2 Rb., 4 Mk.

Sprawa Rydzyny.

Głośniejsze zarzuty w sprawie utraty Rydzyny podniosły się po raz pierwszy w pismach polskich w listopadzie r. 1909, kiedy to rozeszła się wiadomość o umowie, na podstawie której rząd pruski ma zabrać ordynacyę a pp. Antoni Wodzicki i Henryk Potocki mają otrzymać od rządu pruskiego cztery miliony marek. Za drugim nawrotem ożywiły się oskarżenia w grudniu r. 1910, gdy się okazało, że w procesie pp. Potockich przeciw rządowi pruskiemu adwokat berliński dr. Loewenfeld, ściśle związany w sprawie rydzyńskiej z pp. Wodzickim, H. Potockim i ich adwokatem p. Loewensteinem, występował jako zastępca rządu i na podstawie opinii prof. Kippa z Berlina głównie dopomógł rządowi w tym procesie z agnatami. Tym razem oskarżani w prasie twórcy ugody z rządem pruskim oddali sprawę do rozpatrzenia rozmaitym ciałom obywatelskim. Do tej chwili wydane zostały dwa orzeczenia. Sąd obywatelski w Poznaniu, powołany przez p. Zygmunta Dziembowskiego z jednej strony a *Dziennik Poznański* z drugiej strony, d. 2 lutego b. r. orzekł, że p. Dziembowski nie naruszył obowiązków obywatela Polaka. Rada miejska w Krakowie przyjęła d. 9 lutego orzeczenie swej komisyi, która uznała, że postępowanie p. Wodzickiego nie czyni mu ujmy jako Polakowi i członkowi Rady m. Krakowa. Z dwu tych orzeczeń pełniej i szerzej przedstawia się krakowskie, po pierwsze dlatego, że p. Dziembowski brał udział tylko częściowy w tej sprawie a p. Wodzicki całkowity, powtóre dlatego, że orzeczenie krakowskie opiera się na wywodzie znacznie obszerniejszym. Chcąc tedy zdać sobie sprawę jaki jest dzisiaj stan wiadomości o sprawie rydzyńskiej, należy wziąć za podstawę orzeczenie krakowskie.

Otóż stwierdzić można i należy: po orzeczeniach tych, chociaż podały one do wiadomości wiele faktów, sprawa się nie wyjaśniła i to co dawniej było niezrozumiałe jest dzisiaj mniej więcej taksamo niezrozumiałe.

W wywodzie krakowskim, co do wszystkich ważniejszych chwil w przebiegu sprawy, podane są wyjaśnienia, które wcale nie są zadowalające, w mniejszym lub większym stopniu, czasem tylko zadziwiające, czasem aż rażące.

1. *Zdania prawników.*

Jak wiadomo, na mocy kontraktu z d. 30. listopada 1905 ostatni ordynat ks. Sułkowski ustanowił pp. Antoniego Wodzickiego i Henryka Potockiego dziedzicami swego osobistego (nie ordynacyjnego) majątku, a oni zobowiązali się za to do pewnych świadczeń na rzecz żony księcia. Kontrakt ten zawierano jednak już z widokami na to, że osobiści dziedzice księcia będą może mogli wystąpić z roszczeniami do ordynacyi i także co do tego stanęła wtedy umowa. Otóż tu właśnie potrzebne były zdania prawników: czy ordynacya, po śmierci ostatniego ordynata z krwi (bo pp. Wodzicki i Loewenstein przyjmowali założenie, że już żadnych uprawnionych agnatów niema), ma przejść na jego dziedziców osobistych czy nie?

Sprawę tych zdań prawników przedstawia wywód krakowski w sposób bardzo dziwny.

Zaczyna się tam od tego, że już wtedy, w r. 1906, istniała opinia prawnicza pruskiego tajnego radcy sprawiedliwości dra Wilmowskiego, który orzekł, że po wymarciu ordynatów z krwi, Rydzyna przejść miała na Komisyę Edukacyjną, a zatem obecnie przechodzi na państwo pruskie, jako spadkobiercę wszelkich praw dawnego państwa polskiego (na której to podstawie rząd pruski zgłosił swe prawa do Rydzyny już w r. 1840).

Drugą opinią prawniczą, którą otrzymano, jest opinia prof. Kutrzeby z Krakowa i polegająca na niej opinia prof. Dernburga z Berlina. Prof. Kutrzeba dowodzi, że Komisya Edukacyjna nie była władzą państwową ale osobną korporacyą, a zatem odrębną od państwa osobą prawną. Na tej podstawie prof. Dernburg orzeka, iż państwo (pruskie) nie może dziedziczyć praw Komisyi Edukacyjnej, która przestała istnieć bez jakiegokolwiek prawnego następcy, tak że po śmierci ostatniego ordynata z krwi ordynacya wogóle wygasa i staje się własnością osobistych dziedziców ostatniego ordynata. Jest to zatem opinia, odmawiająca wszelkich praw rządowi pruskiemu.

Trzecią opinią prawniczą była opinia prof. Balzera i prof. Tilla ze Lwowa. Prof. Balzer nie podziela zdania prof. Kutrzeby i przeprowadza dowód, że jednak Komisya Edukacyjna była władzą państwową i państwo pruskie mogłoby się uważać za jej następcę prawnego. Ale zarówno prof. Balzer jak prof. Till odmawiają rządowi pruskiemu praw do ordynacyi z innego tytułu. Mianowicie, w zmienionych warunkach państwowych, cel fundacyi, wychowanie młodzieży szlacheckiej, nie może być wykonany w myśl intencyi fundatora, który myślał o polskiej młodzieży i polskiej Komisyi Edukacyjnej, podczas gdy pruscy prawnicy,

jak w tym wypadku prof. Dernburg, twierdzą, że władze pruskie mogą po swojemu spełnić ten cel. Zdaniem prof. Balzera i prof. Tilla, z uwagi na niemożność spełnienia celu po myśli fundatora, ordynacya po śmierci ostatniego ordynata z krwi przestaje istnieć i przechodzi na osobistych jego dziedziców. I ta opinia zatem odmawia wszelkich praw rządowi pruskiemu.

Te trzy opinie zestawione są w orzeczeniu krakowskiem w sposób poprostu zdumiewający. Mianowicie mówi ono: opinia prof. Kutrzeby odpada wobec opinii prof. Balzera, a opinia prof. Balzera i prof. Tilla odpada także wobec opinii p. Wilmowskiego częściowo popartej przez prof. Dernburga. Więc na początku była pruska opinia p. Wilmowskiego, potem zwrócono się do uczonych polskich, którzy dali opinie wprost przeciwne, a wobec tego... wrócono do opinii p. Wilmowskiego. Więc po cóż wogóle pytano uczonych polskich?

I po takiem łatwem uporaniu się z opiniami prawniczemi polskiemi wobec pruskich, orzeczenie krakowskie stwierdza z całym spokojem: „Wynik badań prawniczych i historycznych był zatem taki, że w danym stanie rzeczy o wytoczeniu pozwu, któryby miał poważne szanse powodzenia, nie mogło być mowy, nawet gdyby miał wydać orzeczenie nieuprzedzony trybunał, a nie dopiero sądy pruskie, na które odzywają się wciąż żale z ust polskich na trybunie parlamentu niemieckiego“.

Jest to coś poprostu niesłychanego: orzeczenie przyjęte przez Radę miasta Krakowa stwierdza publicznie, że „nawet gdyby miał wydać orzeczenie nieuprzedzony trybunał“ powodzenie czyli słuszność byłaby nie po stronie prof. Balzera ale po stronie p. Wilmowskiego. Znaczy to, że polskie pojmowanie intencyi fundatora, który chciał, aby polska Komisya Edukacyjna wychowywała „szlachecką młodzież narodową“, jak mówi w statucie ordynacyi „Ojczyźnie na pożytecznych i przydatnych obywateli“, w zestawieniu z pruskiem pojmowaniem, które pod intencye fundatora podkłada wychowanie pruskich junkrów przez rząd pruski na dobrych obywateli pruskich, że zatem to polskie pojmowanie w zestawieniu z tem pruskiem pojmowaniem nie wyda się słusznem nawet nieuprzedzonemu trybunałowi. Takiego publicznego sponiewierania polskich pojęć o naszem prawie narodowem jeszcześmy, zaiste, z polskich ust nie słyszeli.

Oto jak daleko zawiódł krakowską Radę miejską zbyt przychylny posłuch dla obrony p. Wodzickiego przedstawionej przez p. Loewensteina.

Obowiązkiem wszelkiego polskiego orzeczenia w tej sprawie było jak najdobitniej podkreślić ten fakt pierwszorzędny, zupełnie pominięty w orzeczeniu poznańskiem a zagmatwany i zlekceważony w orzeczeniu krakowskiem: polscy prawnicy powiedzieli, że Rydzyna nie należy się rządowi pruskiemu, pruscy, że się należy.

Takie były, co do tej zasadniczej sprawy, zdania prawników: polskie z jednej strony, pruskie z drugiej strony. Wszelkie powoływanie się na „opinie uczonych prawników i historyków polskich i niemieckich“ tak jakby oni tosamo mówili jest zaciemnianiem sprawy. Uczeni polscy (jak prof. Wróblewski i prof. Till) powiedzieli tylko i każdy rozsądny człowiek taksamo by powiedział, że przed sądami pruskimi rząd pruski zapewne wygra sprawę, ale nie to, że powinien ją wygrać.

I tu właśnie jest to, co boli, co wzburza całe społeczeństwo polskie. Taksamo jak prawnicy polscy tak i cały ogół polski czuje, że Rydzyna rządowi pruskiemu się nie należy, czuje, że oddawać ją mu, to znaczy sprzeniewierzyć się intencyi fundatora z czasów naszej niepodległości, który nie o tem myślał. Dlatego położyć swe nazwisko na układzie, oddającym taką fundacyę rządowi pruskiemu, to jest, w oczach ogółu polskiego, zgoda na bezprawie, na gwałt. Dlatego także wzburzenie wcale się nie uspokaja, gdy się słyszy, że rząd pruski opłaca swój gwałt czterema milionami marek i za tę cenę w oczach całego świata, dzięki polskim nazwiskom na układzie, gwałt zamienia sobie w prawo.

2. *Autoryzacya obywatelstwa poznańskiego.*

Przed układem z rządem postanowiono uzyskać jakieś zezwolenie na to. Otóż panowie ci wybrali sobie, wedle swego własnego uznania, trzech sędziów, pp. Z. Czartoryskiego, J. Kościelskiego, M. Mielżyńskiego, którym sprawę przedstawili wyłącznie adwokaci strony interesowanej i którzy d. 25 października 1906 orzekli, że pod pewnymi warunkami można przeprowadzić ugodę z rządem pruskim. Zdawałoby się, że sąd obywatelski zapyta dlaczego właśnie tych trzech panów z dowolnego wyboru pytano i dlaczego tylko ich. Ale w każdym razie z najwyższem zdumieniem widzi się, że wywód krakowski, przytoczywszy ową opinię trzech, nadaje jej miano najzupełniej nieoczekiwane, kiedy z całym spokojem powiada: „A więc obywatelstwo poznańskie uznało...“, a dalej: „Na podstawie tej autoryzacyi obywatelstwa poznańskiego...“ Gdyby takie skoczki logiczne od trzech ludzi do obywatelstwa poznańskiego znajdowały się w podrzędnym artykule dziennikarskim, możnaby ruszyć ramionami, ale gdy coś podobnego czyta się w uroczystym prawniczym wywodzie przyjętym przez Radę m. Krakowa musi się ręce załamywać.

3. *Na wolną i nieograniczoną własność państwa pruskiego.*

W układzie z rządem pruskim z d. 10. lipca 1908, podpisanym przez pp. Wodzickiego i Loewensteina jako zastępcy p. H. Potockiego, główne zdanie, mianowicie § 1-szy, orzeka zgodę na to, że ordynacya rydzyńska „przypada na rzecz państwa pruskiego do wolnego i nieograniczonego rozporządzenia tegoż“. Również w zapadłej w wykonaniu tego układu uchwale rodzinnej z d. 2. września 1908, króciutkiej, lakonicznej, znajdują się jednak tesame słowa, bo brzmi ona: „Ordynacya gaśnie z osobą obecnie żyjącego ostatniego ordynata ks. Antoniego Sułkowskiego; z jego śmiercią przechodzi cały ruchomy i nieruchomy w Prusiech położony majątek ordynacyjny na rzecz państwa pruskiego na wolną i nieograniczoną własność tegoż“.

Wywód krakowski objaśnia dlaczego mowa tu wprost o państwie pruskiem a nie o po-

znańskiem kollegium szkolnem w ten sposób: „Kollegium szkolne tak samo jak Komisya Edukacyi Narodowej jest władzą, a jako taka nie może mieć własności i przy dzisiejszym stanie nauki prawnej nie można popełniać bałamuctw i błędów, jakie były możliwe w r. 1783“. Mniejsza o to, chociaż zauważyć się musi, że zawsze dotąd występowało w tej sprawie właśnie kollegium szkolne i dopiero w układzie z pp. Wodzickim i Loewensteinem ten „błąd“ naprawiono.

Ale główna waga leży gdzieindziej, mianowicie w wyrazach: „na wolną i nieograniczoną własność“. Rzecz dziwna, orzeczenie krakowskie tych słów ciężkich, tak ciężkich jak kamienie młyńskie, z którymi idzie się pod wodę beznadziejnie, wcale nie przytacza. A tymczasem te słowa znaczą, ni mniej ni więcej tylko zupełne zniszczenie dzieła fundatora polskiego z r. 1783 i pozwalają rządowi pruskiemu, zamiast wychowywać młodzież narodową, rozkolonizować ziemie rydzyńskie między kulturtraegerów niemieckich. Wywód krakowski wie o tem, ale powiada, że rząd pruski mógł i tak, bez owej ugody, zrobić tosamo. W takim razie ciśnie się nieprzeparcie pytanie: po cóż zatem dwa razy, w ugodzie i w uchwale rodzinnej, zamieszczono z takim naciskiem te wyrazy, jeśli one były niepotrzebne, po co „przy dzisiejszym stanie nauki prawnej“ zamieszczono dwa razy, w bardzo lakonicznym tekscie, wyrazy bez wartości prawnej?

Tam gdzie p. Loewensteinowi i jego klientom potrzeba tego, tam dzisiejszy stan nauki prawnej jest nieubłagany, a tam gdzie im inaczej potrzeba, jest on po staremu bałamutny. A krakowska Rada miejska przyjmuje to bez zdziwienia.

A jednak istnieją i pruskie dokumenty, ograniczające swobodę państwa pruskiego, istnieje w księgach gruntowych pruskiego sądu powiatowego w Lesznie klauzula, że dobra rydzyńskie po zupełnem wygaśnięciu ordynatów z krwi mają zostać niepodzielone i „dem National Erziehungsfond zur Errichtung Erziehungs-Institutes für die adelige Jugend zufallen sollen“. A przedewszystkiem istnieje postanowienie statutu ordynacyjnego z r. 1783, że po wygaśnięciu ordynatów z krwi ordynacya ma być oddana „na użytek Komisyi Edukacyi Narodowej, z której ordynacyi corocznie zupełne dochody na wychowanie młodzieży szlacheckiej być mają zażywane, pod nieodmiennemi na zawsze kondycyami, żeby te dobra zawsze nosiły imię ordynacyi Sułkowskiej, żeby całość i nierozdzielność owych nigdy pod żadnym pretekstem naruszoną nie była, tudzież, żeby dotyczące kollegia, szkoły i konwikty nosiły zawsze imię fundacyi Sułkowskich i herby Sułkowskich“.

Gdyby rząd pruski przy pomocy jakichkolwiek kruczków prawnych zmienił „nieodmienne na zawsze kondycye“ księcia fundatora, gdyby dzielił, kolonizował, zatarł ślady fundacyi, byłby to gwałt spełniony na wyraźnych i nieodmiennych na zawsze intencyach fundatora i zaprawdę przed całą Europą, przed całym światem cywilizowanym, moglibyśmy wtedy rząd pruski oskarżyć, tak że wszyscy ludzie uczciwi na świecie uznaliby, iż rząd pruski staje się winnym sprzeniewierzenia fundacyi i okrywa się hańbą. Kruczki prawne, które wystarczają dzisiaj Radzie m. Krakowa, nie wystarczyłyby wtedy rządowi pruskiemu, by uniknąć hańby jaskrawej, nie do zatarcia.

I dlatego to rządowi pruskiemu potrzebne były te kamienne słowa: „na wolną i nieograniczoną własność“, słowa które mu, w obliczu całego świata cywilizowanego, zamienić mają gwałt na prawo, bo są pod niemi polskie podpisy.

4. *Wzajemne świadczenia.*

Wiadomo, że cztery miliony marek otrzymać mieli pp. Wodzicki i Potocki za pewne świadczenia, jak mówi art. 4-ty ugody, a w art. 3-cim świadczenia te określone są tak: „Hrabiowie Potocki i Wodzicki zobowiązują się niczego nie podejmować, coby dojście do skutku uchwały familijnej utrudniło lub udaremniło lub tejże prawną trwałość kwestyonowało“.

Na to wywód krakowski powiada znowu najspokojniej w świecie: „Ustęp ten nie ma żadnej realnej prawnej treści, bo pp. Wodzicki i Potocki i tak i bez tego ustępu nic zrobić nie mogli“. Znowu zatem o braku „prawnej treści“ mówi tosamo orzeczenie krakowskie, które nieco wyżej deklamowało, że „przy dzisiejszym stanie nauki prawnej“ nie można bałamucić w tekstach prawnych.

Świadczeń ze strony pp. Wodzickiego i Potockiego nie widzi orzeczenie krakowskie żadnych. A gdyby oni wytoczyli proces przeciw państwu pruskiemu, stając na prawno-historycznem stanowisku prof. Balzera, czy to nie byłoby dla rządu utrudnienie? Gdyby nie dali swych podpisów na ugodzie, czy rząd oskarżony przed całym światem cywilizowanym o sprzeniewierzanie fundacyi, miałby za sobą polskie nazwiska? Albo czy może nie było innych jeszcze dróg prawnych, czy to przez agnatów, czy innych?

Tego wszystkiego wywód krakowski nie widzi i zadowala się twierdzeniem, że taki akt o jakichś świadczeniach i zapłacie wprost do rąk pp. Wodzickiego i Potockiego, a nie do masy spadkowej po ks. Sułkowskim, wymyślono na to, aby... nie mieli oni kłopotu z wierzycielami ks. Sułkowskiego i z należytością spadkową.

Wedle orzeczenia krakowskiego pp. Wodzicki i Potocki dostali cztery miliony za nic i w dodatku rząd pruski podpisywał głupstwa bez treści prawnej na to, aby przypadkiem nie musieli mu ci panowie płacić należytości spadkowej. Niema to jak żyć w Prusiech.

To wszystko podaje orzeczenie krakowskie najzupełniej poważnie.

5. *Udział w uchwale rodzinnej.*

Po tej ugodzie z rządem nastąpiła uchwała rodzinna z d. 2 września 1908 w brzmieniu podanem powyżej (pod 3). Orzeczenie krakowskie podaje z wielkim naciskiem, że w uchwale tej „hrabiowie Wodzicki i Potocki żadnego udziału nie brali“. Że ich przy spisywaniu tej uchwały nie było, to nic dziwnego, bo nie będąc wogóle agnatami, nie mogli tam być. Więc za to niema ich co wysławiać. Natomiast należało z całym naciskiem podnieść co innego:

że oni wzięli jednak całkowity udział w sporządzeniu tej uchwały familijnej, znoszącej nieodmienne na zawsze postanowienia fundatora i ponoszą za nią całkowitą odpowiedzialność bez krzty jakiegoś złagodzenia. Albowiem:

1-o do ich układu z rządem z d. 10. lipca 1908 dodany był jako załącznik (z tąsamą datą) tekst dosłowny mającej zapaść uchwały rodzinnej; dalej w § 3 ich własnego układu znajduje się klauzula, że ich „zobowiązanie pozostaje w mocy i w tym wypadku gdyby dołączone brzmienie uchwały familijnej, na żądanie władzy fideikomisarnej, zmienione zostało", co znaczy, że nie tylko znali oni brzmienie uchwały, ale też z góry godzili się na jakiekolwiek inne brzmienie; a wreszcie w art. 9-tym wprost powiedziano, że „w obecności notaryusza został protokół wraz z załącznikiem (zatem: wraz z załącznikiem t. j. z uchwałą rodzinną) przeczytany, przez strony przyjęty i przez nie w następującym porządku podpisany; ...Antoni hr. Wodzicki mp. Dr. Natan Loewenstein mp.".

2-o uchwała rodzinna jest w swej treści dosłownem powtórzeniem art. 1-szego ich własnego układu z rządem.

W orzeczeniu poznańskiem powiedziano przynajmniej, że ta uchwała rodzinna „wynikała z układu z d. 10. lipca 1908".

Ale jak można było w takim stanie rzeczy z naciskiem podnosić w orzeczeniu krakowskiem, że w uchwale tej „hr. Wodzicki i Potocki żadnego udziału nie brali", to jest rzeczą poprostu niepojętą.

A nie chodziło tu o drobnostkę: uchwała ta znosiła „nieodmienne na zawsze" postanowienia fundatora polskiego na rzecz nieograniczonej własności rządu pruskiego.

6. *Ostrzeżenie społeczeństwa i agnatów.*

Orzeczenie krakowskie mówi: „Po podpisaniu ugody (z d. 10. lipca 1908) a przed zeznaniem uchwały rodzinnej (z d. 2. września 1908) pojechał ks. ordynat Sułkowski do Poznania i w wykonaniu powziętych poprzód z hr. Wodzickim i hr. Potockim postanowień, sprosił grono redaktorów, któremu całą sprawę przedstawił dr. Dziembowski. Odnośny komunikat, który miał społeczeństwo ostrzedz, opracował redaktor Puffke. Zarzut jakoby hr. Wodzicki i Potocki zataili sprawę przed społeczeństwem mija się więc z istotnym stanem rzeczy".

Natychmiast po ogłoszeniu wyroku krakowskiego napisał *Dziennik Poznański* (z d. 12. lutego b. r.): „Przeciwko tej informacyi, o ile ona dotyczy naszego redaktora, zaprotestować musimy z całą stanowczością. W redagowaniu owego komunikatu redaktor naszego pisma p. Kazimierz Puffke, ani bezpośrednio ani pośrednio, żadnego zgoła nie brał udziału. Komunikat przesłany został *Dziennikowi Pozn.* przez ks. Antoniego Sułkowskiego".

A *Kuryer Poznański* (z d. 12. lut. b. r.) pisze: „Z całym naciskiem oświadczyć należy, że... ową konferencyę prasy zwołano jedynie w tym celu, aby prasę spowodować do milczenia. Chodziło właśnie o to, aby sprawę zataić przed społeczeństwem, rzecz ma się zatem wręcz odwrotnie. Co więcej, p. Dziembowski układ z rządem zamilczał zupełnie".

To jeszcze nie wszystko. Na tydzień przed orzeczeniem krakowskiem stwierdził w Sejmie pruskim pos. Trąmpczyński fakt następujący, w zupełności przyznany przez ministra sprawiedliwości: Po ugodzie z d. 10. lipca a przed uchwałą rodzinną z d. 2. września, sąd nadziemski w Poznaniu odmówił przeprowadzenia tej uchwały bez uwiadomienia czyli wywołania agnatów, a wtedy adwokat ks. Sułkowskiego dr. Loewenfeld prosił ministra o wpłynięcie na sąd i rzeczywiście na skutek listu ministra (dosłownie odczytanego przez p. Trąmpczyńskiego), powołującego się na protest p. Loewenfelda, sąd d. 22. sierpnia 1908 zmienił swą uchwałę i nie uwiadomił agnatów. Oto jakie było „wykonanie powziętych poprzód z hr. Wodzickim i hr. Potockim postanowień".

Tak ostrzeżono społeczeństwo i agnatów. I takich wiadomości udzielano sądzącej sprawę komisyi krakowskiej.

7. *Adw. Loewenfeld i prof. Kipp.*

Poza zarzutem, że agnatów nie ostrzeżono, był i ten, że w procesie hr. Potockich, jako agnatów, przeciw rządowi, w grudniu r. 1910, adw. berliński Loewenfeld, ściśle związany z polskimi twórcami ugody z rządem pruskim, przedłożył opinię prof. Kippa z Berlina, na podstawie której sąd wydał wyrok przeciw agnatom.

Wywód krakowski objaśnia, że pp. Wodzicki i Potocki zabronili p. Loewenfeldowi występować w ich imieniu na tym procesie, że zastępował on tam rząd pruski i w tym charakterze przedłożył opinię prof. Kippa.

Jest to jedno z najbardziej rażących ominięć prawdy w tej obronie, gdy bliżej przypatrzeć się sprawie. Albowiem:

1-o Kiedy ks. Sułkowski kontraktem z d. 30. listopada 1905 ustanawiał pp. Wodzickiego i Potockiego swoimi spadkobiercami, wtedy, jak stwierdza wywód krakowski, zarazem „oświadczył książę gotowość uczynienia wszystkiego, coby się zdaniem jego spadkobierców przyczynić mogło do uratowania ordynacyi". Otóż adw. Loewenfeld był egzekutorem testamentu księcia i jako taki miał obowiązek stosować się do tego, co „zdaniem spadkobierców księcia" t. j. pp. Wodzickiego i Potockiego mogło się przyczynić do uratowania ordynacyi. Panowie ci mieli obowiązek zakazać mu występować nie tylko w ich imieniu ale wogóle w jakimkolwiek charakterze z poparciem rządu przeciw agnatom. Bo czyż popieranie rządu przeciw agnatom przyczynia się do... uratowania ordynacyi?

2-o W orzeczeniu pp. Z. Czartoryskiego, J. Kościelskiego i M. Mielżyńskiego z d. 25. października 1906, dosłownie przytoczonem w wywodzie krakowskim, jako adwokaci polskiego obozu w walce z rządem o ordynacyę wymienieni są zupełnie na równi „powołani do prowadzenia sprawy zastępcy prawni pp. dr. Zygmunt Dziembowski, dr. Wiliam Loewenfeld i dr. Natan Loewenstein". Jeden z tych adwokatów zostaje później zarazem zastępcą rządu w procesie przeciw agnatom.

W wywodzie krakowskim objaśnione to jest w sposób naprawdę wzruszający: „Rząd pruski wezwał radcę spraw. Loewenfelda jako...

znawcę wszystkich spraw rydzyńskich". Jakżeż to zrozumiałe, jakżeż to naturalne! Tylko, coby powiedział którykolwiek członek Rady m. Krakowa, gdyby jego adwokat w jakiejś sprawie, znając doskonale słabe strony sprawy, znając wszystkie ujemne wywody prawników, postarał się o jeden jeszcze podobny wywód ujemny i został zastępcą kogoś, kto jest w tej sprawie przeciwnikiem?

Są to już proste kpiny ze zdrowego rozsądku. Usprawiedliwianie się, że pp. Wodzicki i Potocki przez p. Loewensteina zabronili p. Loewenfeldowi występować w owym procesie w ich imieniu, jest wobec tego, że zrobił on wszystko co rządowi i im było potrzebne, w innym charakterze, marnym wybiegiem, w oczy bijącym. Obowiązkiem wszelkiego sądu obywatelskiego w tej sprawie było zestawić rolę p. Loewenfelda z owem zobowiązaniem pp. Wodzickiego i Potockiego, że nie podejmą oni „niczego coby dojście do skutku uchwały familijnej utrudniało".

8. *Za co cztery miliony.*

Oto pytanie główne, najważniejsze, najistotniejsze w tej sprawie: za co rząd pruski daje pp. Wodzickiemu i Potockiemu cztery miliony?

Na pytanie to, dosyć chyba ważne dla każdego sądu obywatelskiego, wywód krakowski nie odpowiada wprost i jasno, co więcej, nawet go nie stawia. Ale mimochodem zaznacza wywód krakowski, za co rząd pruski dał cztery miliony, i odpowiada: za nic. Mianowicie, podczas gdy układ z d. 10. lipca 1908, wyraźnie mówi, że owe cztery miliony są „sumą odprawną" (Abfindungssumme) za „oddane świadczenia" (Leistungen), wywód krakowski, jak już widzieliśmy, zapewnia, że to wszystko są bajki bez treści i że żadnych świadczeń ze strony pp. Wodzickiego i Potockiego na korzyść rządu nie było, bo oni wogóle „nic zrobić nie mogli".

Za nic!

A równocześnie rozchodzą się szeptane od ucha do ucha i nawet już w pismach powtarzane pogłoski, że rząd pruski został poprostu wystrychnięty na dudka, że w grę tę wciągnięte były wielkie wpływy polityczne, dworskie, dynastyczne p. Wodzickiego.

Jednem słowem, mamy wierzyć, że rząd pruski, który miał w ręku wszystkie bez wyjątku dokumenty sprawy, nie poznał się na tem, że pp. Wodzicki i Potocki razem z p. Loewensteinem nic zrobić nie mogli, nie widział tego, co widzi jak na dłoni którykolwiek radny krakowski, nastraszył się i dał pieniądze. Powtóre wierzyć mamy, że w czasie najzacieklejszej walki z polskością, w chwili pod tym względem szczytowej, równocześnie z uchwaleniem ustawy o wywłaszczaniu, rząd pruski przygotował a w kilka miesięcy później zawarł układ, dający Polakom cztery miliony marek za nic. Wreszcie wierzyć mamy, że rząd pruski naraził się z lekkiem sercem na to, że oskarżany o marnotrawienie funduszów publicznych, wzywany do wyjaśnień przez opinię i posłów, nie będzie miał odpowiedzi na pytanie, za co dał ze skarbu państwa przeszło cztery miliony, a z tem co dostał ostatni ordynat, przeszło pięć milionów marek.

Kto każe w to wierzyć, tego słusznie zapytać można, czy ma zdrowe zmysły czy też jest szalony.

Rząd pruski ma odpowiedź i da ją zawsze mniej lub więcej jasno, jeśli będzie pytany: pp. Wodzicki i Potocki, zastąpiony przez p. Loewensteina, poszli mu na rękę i usunęli mu wiele trudności prawniczych i moralych, znanych i nieznanych; z góry już, godząc się na wygaśnięcie ordynacyi, zaprzeczyli od siebie praw wszelkim agnatom i dali rządowi przeciw nim jedną broń więcej, już raz użytą przez sąd leszczyński w pierwszej instancyi; pożyczyli mu do procesów przeciw agnatom p. Loewenfelda; zrzekli się wszelkich dochodzeń jako osobiści spadkobiercy ostatniego ordynata; sprawili, że ordynacya została rozwiązana, zwolniona z fundacyi na rzecz wychowywania szlacheckiej młodzieży narodowej i oddana rządowi na wolną i nieograniczoną własność; zamienili mu gwałt w prawo; dali mu w ręce najlepszą tarczę przeciw zarzutom o sprzeniewierzenie fundacyi polskiej i naruszenie intencyi polskiego fundatora, bo dzisiaj może rząd całemu światu odpowiedzieć, że ma na to zgodę polską, że ma podpisy polskich osobistości politycznych: J. E. tajnego radcy, członka Izby panów, podkomorzego Antoniego hr. Wodzickiego na zamku Kościelec i posła do Rady państwa i Sejmu dra Natana Loewensteina jako zastępcy hr. Henryka Potockiego.

Za te cztery miliony marek sprzedane zostało polskie prawo narodowe na rzecz pruskiego prawa zaborczego.

8. *Co będzie z czterema milionami.*

Orzeczenie krakowskie nie postawiło wreszcie jasno sprawy przeznaczenia owych czterech milionów, które mają otrzymać pp. Wodzicki i Potocki.

Jedyną wskazówkę daje w tym względzie punkt 3-ci warunków postawionych przez orzeczenie trzech obywateli poznańskich z 25 października 1906: „Jeżeli ewentualnie fundusze ugodowe, po potrąceniu kosztów, w całości użyte będą na cele protokołem tym wskazane". Jakie to cele, nie powiedziano. Ale w orzeczeniu swem komisya Rady m. Krakowa „wyraża przekonanie, że fundusz, uzyskany z powodu rozwiązania ordynacyi rydzyńskiej użyty będzie w myśl zasadniczej intencyi pierwszego założyciela ordynacyi, nie tylko na trwałą lokacyę w ziemi, lecz równocześnie w pokaźnej części na cele edukacyi narodowej". Znaczy to, że, wedle wiadomości komisyi, pieniądze te miały być użyte tylko na lokacyę w ziemi. Lokacya zaś, to znaczy, że pieniądze zostaną własnością pp. Wodzickiego i Potockiego a tylko ulokowane będą w ziemi. Więc też p. Daszyński, który także był obecny przy obronie p. Loewensteina i wie zapewne jak się rzecz przedstawia, dodał w osobnej deklaracyi, że „suma ta nie powinna zostać niczyją prywatną własnością".

Istotnie, jest w tem różnica dosyć namacalna, czy pieniądze zostaną w zupełności oddane na cele publiczne, czy też tylko ulokowane będą w pożytecznych instytucyach, a pozostaną wła-

snością prywatną (co zresztą zawsze jest niepewne, bo nuż jakie niepowodzenia, długi, a zgłoszą się wierzyciele). Różnica wystąpi jasno, gdy się powie, że jeśliby pp. Wodzicki i Potocki ulokowali, każdy swoją połowę, t. j. po dwa miliony marek, n. p. w poznańskim Banku Ziemskim, na 5%, to każdy z nich będzie brał rocznie za sprawę rydzyńską 100.000 marek procentu, co nie jest znowu taką wielką krzywdą osobistą i takiem wielkiem poświęceniem narodowem.

Dla oświetlenia akcyi ugodowej w sprawie rydzyńskiej bardzo ważną będzie wiadomość o tem, jakie wedle pierwotnych zamiarów twórców ugody miało być przeznaczenie uzyskanej sumy: czy chodziło tam wyłącznie o interes narodowy czy też o interes narodowy w połączeniu z interesem osobistym.

Dzisiaj zaś jasno trzeba postawić sprawę. Co to są za pieniądze, te cztery miliony marek? Jest to część fundacyi, którą w r. 1783 wojewoda poznański, ks. August Sułkowski, przeznaczył, po wygaśnięciu ordynatów, na cele narodowe. Cała obrona pp. Wodzickiego, Potockiego i Loewensteina na tem polega, że to rząd pruski nie chce spełnić godziwie fundacyi ks. Sułkowskiego, rząd, a nie oni. Oni zaś zapewne zrozumieją, że to są pieniądze z polskiej fundacyi narodowej i że żaden Polak pieniędzy tych na swoją własność brać nie może i ani grosza dochodu osobistego z nich mieć nie może.

Wnioski.

Rozbiór powyższy dotyczy wszystkich, jeden po drugim, głównych ustępów wywodu krakowskiego, a wrażenie jakie wywołują zapatrywania tego wywodu na wszystkie ważniejsze momenty sprawy jest poprostu straszne.

Jakto? Rada m. Krakowa przyjmuje wywód, który nastrojowo przenosi cały nacisk, jako na „czarną chwilę“, na uchwałę rodzinną z dnia 10. marca 1892, prawnie nieważną; który twierdzi, że prawno-historyczne stanowisko polskie Balzerów nie utrzymuje się wobec pruskiego Wilmowskich nawet przed bezstronnym trybunałem; który zdanie trzech ludzi obleka w nazwę autoryzacyi obywatelstwa poznańskiego; który prześlizguje się nad ciężkiemi słowami oddania ordynacyi na wolną i nieograniczoną własność państwa pruskiego; który z poważną miną zapewnia, że wskazane w układzie świadczenia na rzecz rządu są bajką bez realnej treści; który nie widzi udziału pp. Wodzickiego i Potockiego w uchwale rodzinnej, chociaż oni już naprzód brzmienie jej przyjęli i podpisali; który bez należytego zbadania rzeczy zapewnia o ostrzeganiu społeczeństwa i agnatów, choć przed nimi wszystko tajono; który uważa za rzecz naturalną, że adwokat polskich twórców ugody zostaje zarazem adwokatem rządu pruskiego; który powiada, że cztery miliony marek dał rząd pruski za nic.

Czemże jest ten wywód krakowski? Poprostu powtórzeniem, z dobrą wiarą, obrony przedstawionej przez p. Loewensteina, w której na każdym kroku odkrywa się bijące w oczy wykręty. I pomyśleć, że to wszystko przeszło w orzeczenie sądu obywatelskiego! Wszakże sąd obywatelski powinien te poważne sprawy przedstawiać nie w świetle ladajakich wykrętów, ale w świetle najsurowszego sumienia obywatelskiego. Sąd obywatelski nie jest na to, aby wykrętne sposoby działania pokrywać, ale przeciwnie odkrywać i ganić. Bo inaczej, zamiast nauki i przestrogi przyniesie taki sąd zachętę dla wszelkich winowajców.

Uzasadnienie orzeczenia krakowskiego, jeśliby miało być nieodwołalnie przyjęte przez Radę m. Krakowa, zaciąży na niej swymi niepojętymi poglądami jako dokument smutnej sławy. Czegoś podobnego nie należało w żadnym razie ogłaszać, bo rozlatuje się to w strzępy, gdy bliżej dotknąć. To są kpiny z opinii publicznej.

S prawa ugody z rządem pruskim, prze prowadzonej przez pp. Wodzickiego, Potockiego i Loewensteina, nie została orzeczeniem krakowskiem wyjaśniona. Co więcej, coraz lepiej widać, że niektóre rzeczy nigdy nie będą mogły być obronione i usprawiedliwione.

Gdyby sumienie nam mówiło, że sprawa to teraz już jasna, że zarzuty odpadają, oddalibyśmy sprawiedliwość... Ale sumienie mówi inaczej, każe bronić prawdy i jasności, bo obrona pełna wykrętów, jaką przedstawiono, budzi odrazę i czyniłaby ujmę społeczeństwu, któreby ją przyjęło i po niej zamilkło.

Po ankiecie żydowskiej.

Zapowiadana od lat trzech ankieta w sprawie nędzy żydowskiej odbyła się obecnie staraniem Wydziału krajowego.

I znów przed oczyma społeczeństwa stanęła sprawa żydowska w całem jej niesłychanem powikłaniu.

Ankieta wprawdzie zajmowała się tylko częścią tej sprawy: zagadnieniem nędzy mas żydowskich. Ale dotknięta w którymkolwiek miejscu, sprawa żydowska obraca się natychmiast ku badaczowi całą swą postacią. Jest to jej odrębna właściwość. Coś podobnego zaszło i z ankietą.

Przystąpiono do obrad nad sprawami gospodarczemi, a jednak tuż na wstępie padł wyraz — „równouprawienie“. Wyraz pełen treści politycznej i kulturalnej. Miano mówić o rzeczach ekonomicznych, a mówiono o wychowaniu, o polityce, o religii, kulturze — o wszystkiem.

Przytem mówiono w pierwszym dniu z pasyą, z żalem, z rozgoryczeniem.

Później spostrzeżono się i cofnięto; zbędny temperament pomiarkowano. Jednak wymaganie równouprawnienia, jak nieodparty motyw przewodni, wracało w fali rozpraw wciąż znowu i znowu. A w szeregu ułożonych wkońcu postulatów i wniosków, przez większość członków ankiety po cichu za swoje przyjętych, na pierwszem miejscu znalazło się żądanie polityczne: dopuszczenia żydów do wszystkich urzędów publicznych.

Pragnąc więc sobie zdać sprawę ze znaczenia odbytej ankiety dla społeczeństwa naszego, nie podobna się ograniczać do zagadnień gospodarczych, w zakresie których z założenia swego ankieta miała i — mniej lub więcej gorliwie — usiłowała się obracać.

I przyznać trzeba, że gdy się uważnie wczytamy we wszystkie przemówienia żydowskich członków ankiety, przekonamy się, że sedno spraw poruszonych przez nich stanowi moment narodowo-polityczny.

Spróbujmy, na zasadzie zdań wyrażonych w ankiecie, zbudować ten osobliwy syllogizm, przez który sprawy gospodarczego życia żydów łączą się jako ze swą podstawą z czynnikami natury politycznej.

„Żydzi cierpią nędzę, bo są nieprzygotowani do pracy gospodarczej w warunkach XX. wieku“[1]).

„Żydzi nie są do tej pracy przygotowywani, ponieważ nie są odpowiednio wychowywani przez społeczeństwo“[2]).

„Żydzi nie są odpowiednio wychowani przez społeczeństwo, ponieważ jego system szkolny nie odpowiada ich szczególnym warunkom“[3]).

Powszechny system szkolny nie odpowiada żydom, ponieważ tworzą oni odrębne, na własnych zasadach oparte społeczeństwo. Oto jest syllogizm, zbudowany nie przez zestawienie pojęć, lecz faktów życiowych, takich — jakie odsłoniły przemówienia członków ankiety.

Wprawdzie żaden z działaczów żydowskich nie chciał pomyśleć tego łańcucha przesłanek do końca, chociaż nie jeden zbliżał się o krok zaledwie do jego założenia.

Tak więc p. dr. Aschkenaze zaraz we wstępnem przemówieniu swojem stwierdził, że wszystkie środki, przedsięwzięte przez społeczeństwo polskie ku udoskonaleniu swej organizacyi wewnętrznej trafiają same przez się w żydów. A więc — ustawa o lichwie, szerzenie się stowarzyszeń spółdzielczych kredytowych i handlowych, organizacye rękodzieł, dowody uzdolnienia, pośrednictwo pracy, ba nawet ustawy weterynaryjne, nawet ustawa o rybołowstwie, nawet biura solne krajowe!

Zdawałoby się — nic łatwiejszego, jak z takiego układu stosunków wysnuć wniosek, że żydzi w społeczeństwie polskiem stanowią osobny, życiem odrębnem żyjący organizm.

P. dr. Aschkenaze jednak wolał wyminąć logikę rozumowania i faktów, doszukując się przyczyny stwierdzonego przez siebie zjawiska w elastyczności ustaw i w rozmaitem ich stosowaniu do chrześcijan i do żydów.

Innych członków ankiety liczenie się z poszczególnymi objawami odrębności żydowskiej i zapoznawanie zjawiska tego w jego całości wtrącało w nierozwiązalne sprzeczności.

Zwłaszcza jaskrawie spostrzec się to dało na polu zagadnień oświatowych.

Skargi na brak przygotowania biednej ludności żydowskiej do warunków nowoczesnego życia były powszechne. Przygotowania tego dać nie mogą wyznaniowe, wyłączne chajdery — to stwierdzali wszyscy. A więc należy, aby ludność żydowska korzystała z powszechnych szkół publicznych. Lecz tu zaczynały się zastrzeżenia: — dzieci żydowskie ze szkół tych w znacznej mierze korzystać nie mogą dla nieznajomości ich języka wykładowego; ludność ortodoksyjna szkół tych unika, bo uczy w nich innowierca, bo tam nie świętują soboty i t. d.

[1]) Kolischer.
[2]) Feldstein.
[3]) Gross i inni.

I tak co krok. Przyjęcie zasady, że żydzi są jednolitą częścią społeczeństwa polskiego prowadzi do ujednostajnienia w teoryi środków i urządzeń życia społecznego dla wszystkich, a równoczesna chęć utrzymania swych zwyczajów religijnych, a właściwe narodowo-kulturalnych wysuwa w tejsamej chwili konieczność środków szczególnych, instytucyi osobnych. Dochodzi się w ten sposób do formułek tak wyszukanych, jak żądanie — „nie opieki odrębnej, lecz opieki specyalnej“. Wskutek tego też zapewne ankieta, póki obracała się pierwszego dnia w dziedzinie zagadnień ogólnych, miała rozmach i temperament; gdy zeszła drugiego dnia na grunt rzeczowych zagadnień społeczno-gospodarczych, zaczęła się tułać bezradnie wśród pobożnych życzeń i sprzeczności.

Dlatego również prawdopodobnie żydowscy członkowie ankiety, mimo, że czasu dość mieli, przecie zjawili się na posiedzenia dziwnie niezaopatrzeni w jakiekolwiek daty, dotyczące położenia gospodarczego swych współwyznawców. Parę ubożuchnych liczb, przytoczonych przez p. dra Aschkenazego z zakresu podatku wyznaniowego w gminie żydowskiej lwowskiej nic a nic nie ratowało sytuacyi.

Inni przedstawiciele żydów posługiwali się tylko materyałami, zebranymi z ramienia Wydziału krajowego. (Dok. nast.).

Dr. Rom.

Obrona X. Metropolity.

Niezwykle znamienny, na najżywszą uwagę zasługujący, jest głos, który w obronie ks. Metropolity lwowskiego, z powodu poruszonej w *Rpltej* (nr. 45) sprawy związków ks. Metropolity z nowym ruchem Welehrad-O. Palmieri-ks. Max Saski, odezwał się w *Rusłanie* (d. 18. i 19. stycznia). Jest to bowiem pismo, które jako dziennik chrześciańsko-społeczny (chrystyjańsko-suspylnyj dniewnyk) w zupełności oddane jest ks. Metropolicie. Nadto autor obrony, podpisany literą P.. zna najdokładniej sprawę i sprawy O. Palmieri'ego, posługuje się jego pismami łacińskiemi, jest więc oczywiście osobą duchowną. W daleko wyższym przeto stopniu niż odpowiedź *Diła* z d. 16. stycznia (por. *Rplta* nr. 46 str. 23) jest ta obrona *Rusłana* głosem idącym wprost z pałacu na wzniesieniu św. Jura.

Rusłan ani jednem słowem nie wspomina o potępionych przez Stolicę Apostolską herezyach ks. Maxa, który jest przyjacielem ks. metropolity Szeptyckiego, ani o bardzo im pokrewnych poglądach O. Palmieri'ego, który jest także przyjacielem ks. metropolity Szeptyckiego, ani o podobnym duchu zjazdów welehradzkich, na których przewodniczył ks. metropolita Szeptycki. Poglądy te, zdumiewająco śmiałe, bo graniczące z herezyą, wypowiedziane były bardzo jasno a tutaj przytoczone były dosłownie i przeczyć ich istnieniu nie można. Gdyby pismo ks. Metropolity wogóle poruszyło te niezmiernie drażliwe zapatrywania, musiałoby choćby półsłówkami powiedzieć, czy je uznaje, czy też je potępia. Hic Rhodus, hic salta. W tem cała trudność. Uznać te poglądy, lekceważące dogmaty i organizacyę ko-

ścielną, to znaczy pójść przeciw Stolicy Apostolskiej, potępić je otwarcie to znaczy wyprzeć się swoich najbliższych współpracowników, których się dotąd utrwalało w tych niebezpiecznych poglądach i którzy mogliby słusznie w takiem wyparciu się ich widzieć coś niewłaściwego, coś co *Diło* (z d. 16 stycz. str. 4) nazwałoby bardzo zgrabnie „towarzyską nielojalnością". Więc też *Rusłan* o tych wszystkich sprawach, o które właśnie chodzi i o których jedynie należało mówić, milczy zapamiętale. Jeśli kiedy to w tym wypadku milczenie jest naprawdę złotem. Bo jaśniej niż jakiekolwiek wywody okazuje ono w jak kłopotliwem położeniu znalazł się obecnie ks. Metropolita lwowski wskutek swej niebezpiecznej i złudnej gry kościelno-politycznej, przedwcześnie skompromitowanej przez zbyt zapalnych współpracowników. I oto teraz ks. metropolita Andrzej hr. Szeptycki zawieszony jest między... katolicką lojalnością wobec Stolicy Apostolskiej a... towarzyską lojalnością wobec swych obałamuconych współpracowników.

Milcząc o tem, o czem należało mówić, musiał jednak świątobliwy autor obrony w *Rusłanie* zapełnić swój długi artykuł czem innem. I zaprawdę, jak milczenie, tak i mowa jego jest nieomal złotem, tak jasno oświetla ona nastrój panujący na św. Jurze. Cały ten artykuł to jeden wielki wylew nienawiści ku duchowieństwu polskiemu.

Posłużyły mu tu znakomicie pisma jednego z przyjaciół ks. Metropolity lwowskiego, mianowicie O. Palmieri'ego. Z największą lubością przytacza autor *Rusłana* co o duchowieństwie polskiem mówi O. Palmieri we wspomnianej już tutaj (nr. 45) najnowszej broszurze p. t. „Mohlianismus et Panpolonismus". Broszura ta, która była oczywiście dla pałacu metropolitalnego lwowskiego wdzięcznym i miłym podarkiem od niedawnego gościa i zobowiązanego ucznia, zawdzięczającego wiele swych poglądów o duchowieństwie polskiem i uczuć dla niego właśnie pobytowi na św. Jurze, już tam jest, już stanowi radość tego szanownego zgromadzenia duchownego, już służy do celów publicystycznych w *Rusłanie*.

Metodę polemiczną O. Palmieri'ego łatwo ocenić można już na podstawie tych kwiatuszków, które uszczknął z broszury jego autor *Rusłana*. O. Palmieri, który ciągle przywdziewa na się szatę wielkiej bezstronności, ze szczególnem upodobaniem opiera się w swej ocenie duchowieństwa polskiego na poważnych głosach i poważnych pisarzach... polskich. Ale jak, zaraz zobaczymy. Powiedział np. Bolesław Prus w swej książce *Najogólniejsze ideały życiowe:* „Nienawiść jest to ciężka choroba nerwowa, ktąra mąci nasze myśli, zatruwa uczucie, psuje i osłabia wolę... jesteśmy nietylko społeczeństwem zacofanem i biednem materyalnie, ale co gorsze, jesteśmy chorzy dochowo". Otóż i ma O. Palmieri z polskiej strony poparcie na swój zarzut nienawiści, rzucony dosyć ogólnie całemu społeczeństwu a przedewszystkiem całemu duchowieństwu polskiemu. Pytamy tylko czy nie możnaby zupełnie tak samo a nawet znacznie obficiej przytaczać całe strony pisarzów włoskich, francuskich, niemieckich, skandynawskich i jakich kto chce, którzy wytykają takie objawy w swem społeczeństwie jak nienawiść lub inne choroby duchowe. Lecz właśnie takie głosy, przy równoczesnem uznaniu jakiem się cieszą tacy pisarze, są dowodem zdrowia w społeczeństwie, dowodem własnej, wewnętrznej, najzaszczytniejszej obrony przeciw złu, które zawsze i wszędzie się wciska, ale jest tylko drobnem zjawiskiem cząstkowem, nie ogarniającem całego społeczeństwa, które samo z niem walczy. Niechajno O. Palmieri zapyta samego Prusa, na którego się powołuje, a już on mu powie, że użytek jaki O. Palmieri zrobił z jego zdania jest najwykrętniejszem nadużyciem, najszpetniejszem kłamstwem. Podobnie w *Przeglądzie Katolickim* znalazł O. Palmieri takie n. p. zdania: „W życiu kleru katolickiego w Królestwie Polskiem coś się psuje i wymaga ratunku... Ksiądz w Królestwie pod względem umysłowym stoi niżej od ogółu inteligencyi". I znowu pytamy: czy tylko w Królestwie, czy czegoś podobnego nie możnaby napisać gdziekolwiek indziej w Europie? A zarazem: czy taki głos w łonie duchowieństwa, w jego piśmie kierowniczem, nie jest objawem pocieszającym, dodatnim, dobre światło na to duchowieństwo rzucającym? Ale dla O. Palmieri'ego to znowu znakomita gratka, aby nasze duchowieństwo zniesławiać wobec całej Europy przez podawanie płytkim umysłom i płaskim charakterom przewrotnego argumentu: jacy oni muszą być źli, skoro sami się oskarżają! Albo n. p. ks. Mohl, odpowiadając na zarzuty O. Palmieri'ego o nadmiernym patryotyźmie polskim i wykazując jak bardzo poczucia narodowe przyczyniały się do oporu przeciw prawosławiu, napisał takie oto zdanie po stokroć prawdziwe: „Jądro narodowości otacza łupina katolicyzmu, twarda jak opoka; gdyby jądro było nikłe, sparciałe, rozdrobione, kto wie czy łupina nie pękłaby pod obuchem panrusycyzmu". Święta to prawda, choć może nie wszystkim miła, bo przecie lud ruski, któremu tych silnych poczuć narodowych zupełnie brakowało, uległ na Ukrainie, Podolu, Wołyniu prawosławiu i to uległ bez najmniejszego oporu (w jednym r. 1793/4 z górą półtora miliona ludności przeszło tam na prawosławie). Ale co tam O. Palmieri'emu prawda historyczna, skoro może się on czepić brzmienia wyrazów i wołać z świętem oburzeniem: oto duchowny polski, który powiada, że narodowość to jądro, a katolicyzm to łupina! Dalibóg, wobec tak nędznej, niskiej, płaskiej metody polemicznej zdejmuje tylko obrzydzenie. Zarówno w obronie duchowieństwa polskiego, jak też w obronie powagi piśmiennictwa kalickiego, powinni najwyżsi pasterze polscy wystąpić w Rzymie jak najbardziej stanowczo przeciw tym oszczerczym, wykrętnym i marnym napaściom.

Ale obrońca ks. Metropolity lwowskiego w *Rusłanie* przytacza to wszystko z największem zadowoleniem. A i od siebie jeszcze ciągle dodaje, tem się tylko różniąc od O. Palmieri'ego, że podczas gdy tamten stara się być zawsze bardzo zręcznym, to ten tutaj pali tak jak umie, po prostacku: „Naprzód zamiećcie swoją chatę, wyrzućcie z pośród siebie śmiecie, które się nagromadziło między innemi w Częstochowie i inne podobne". Widać z tej uciechy, że gdy

w kościołach katolickich odprawiano z powodu zbrodni Macocha nabożeństwa pokutne, na św. Jurze był nastrój raczej do nabożeństwa dziękczynnego.

Obrona w *Rusłanie* nie przyniesie pożytku ks. Metropolicie lwowskiemu. Był to prawdziwy *cri de coeur:* głos bezgranicznej nienawiści, jaką w kołach św. Jura żywią względem duchowieństwa polskiego. Teraz dopiero, jeszcze wyraźniej niż poprzednio, widać w całej pełni, gdzie O. Palmieri natchnął się taką dziwną niechęcią do księży polskich, gdzie się nauczył oskarżać ich o zbytni patryotyzm, gdzie mu ich przedstawiono jako *„pravam panpolonistarum sectam“*, gdzie ukuto to zdanie, że duchowieństwo polskie jest „przeszkodą w zbliżeniu Rosyi do katolicyzmu“ (str. 722), a z drugiej strony rzucono jasne blaski na lwowską cerkiew ruską, w której „Mgr. Andrzej Szeptycki, serce apostoła i ascety, przygotowuje kapłanów i zakonników, którzy cnotą, wiedzą, gorliwością oddadzą cenne usługi sprawie unii kościołów“ (str. 740). Tych związków w oczy bijących już nic dzisiaj nie zatrze.

Taksamo nie do zatarcia są ślady związków między ruchem na rzecz unii kościołów kierowanym przez ks. Metropolitę lwowskiego a herezyami ks. Maxa Saskiego. Trzeba aby Rzym wierzył w możliwość unii, a stąd te umizgi do prawosławia, które były już w Welehradzie, były u O. Palmieri'ego, a wreszcie u ks. Maxa przeszły w zupełne lekceważenie dogmatów. A wszystko to dzieje się pod okiem ks. Metropolity. Nie tylko dlatego, że ks. Max jest jego przyjacielem. Ale także dlatego, że pismo *Roma e l' Oriente* w którem ukazały się herezye ks. Maxa, wydawane jest pod najwyższym protektoratem ks. Metropolity. Wszakże pod auspicyami ks. Metropolity pismo to r. z. założono, wszakże jednym z głównych redaktorów tego pisma jest tak oddany ks. Metropolicie człowiek, jak nawrócony przezeń Rosyanin Włodzimierz Zabugin, wszakże już w pierwszym zeszycie pisma ukazała się korespondencya lwowska o kościele ruskim w Galicyi. I te związki są zatem jasne ponad wszelką wątpliwość.

Ruch ten nowy Welehrad-O. Palmieri-ks. Max można dzisiaj uważać za najzupełniej odsłonięty. Zarówno poza napaściami O. Palmieri'ego na duchowieństwo polskie, jak poza naiwnemi ustępstwami ks. Maxa na rzecz prawosławia, ukazała się gra kościelno-polityczna kierownika zjazdów welehradzkich, ks. Metropolity Andrzeja hr. Szeptyckiego. Stąd popłoch i nieumiarkowane wybuchy gniewu na św. Jurze.

Włodzimierz Antonowicz.

(Zarys jego działalności społeczno-politycznej i historycznej).

III.

Lata uniwersyteckie 1855—1860.

Wpływ Antonowicza na otoczenie koleżeńskie był dwoisty: jednych zbliżył do siebie i zmarnował, drugich, rozważniejszych, czujących w sobie polskość wielu poprzednich pokoleń, odsunął. Do pierwszych należał młody Tadeusz Rylski. Antonowicz był jego nauczycielem domowym, uczeń poszedł drogą mistrza w chłopomaństwie; naśladując jego demokratyczne, a właściwie hajdamackie poglądy, zmarnował młodość i życie. Rzucił się na agitacyę antyszlachecką, a w domu zacnego ojca i dobrego Polaka, spotkał się z najgorętszą opozycyą. Wytworzyło to domową atmosferę nieznośnie ciężką. Rylski zaawanturował się do tego stopnia, że chodziły pogłoski, jakoby miał zamiar zamordowania własnego ojca. Demokracya hajdamacka tego rodzaju stała się zgorszeniem całej okolicy. Idąc dalej śladem moralności i przekonań Antonowicza, Rylski przyjął prawosławie, jako religię, która go miała zbliżyć do ludu. W pojęciu tego zbliżenia się poszedł jeszcze dalej — gdyż ożenił się z wiejską dziewczyną swojej wsi.

Pomiędzy tymi, którzy odsunęli się od Antonowicza — a było ich bardzo wielu i znaleźli się wszyscy w szeregach walczących — jedno z najwybitniejszych miejsc zajął Leonard Sowiński. Chociaż do końca życia pozostał chłopomańskim demokratą, który w szlachcie widział gnębicieli ludu ruskiego, nie wyrzekał się jednak ani idei polskiej, ani religii, ani narodowości. Drugim był Padalica (Zenon Fisz) kolega uniwersytecki Antonowicza, który prowadził z dawnym przyjacielem polemikę w sprawie wydawnictwa aktów. Wrócimy do tego tematu w miejscu właściwem. Docinał on niejednokrotnie Antonowiczowi. Śród jednej z dysput, gdy późniejszy profesor i wódz Rusinów wyśmiewał w żółcią przepojonych słowach ustrój Polski i wytykał wady narodowe, poparte sarkazmem, Padalica odezwał się: „błądzić jest rzeczą ludzką, i Noe błądził, ale z pomiędzy synów jeden tylko Cham śmiał się“.

Ażeby scharakteryzować poglądy Antonowicza na społeczeństwo polskie, które w uniwersytecie jeszcze uważał za swoje, przytoczę kilka wyjątków z jego *Pamiętnika*, złośliwych, pełnych żółci i fałszu:

„Po przyłączeniu kraju do Rosyi, polityczne prawa szlachty były, prawda, zmiejszone, ale natomiast porządek pańszczyźniany, zrównany z tym, jaki miał miejsce w głębi państwa rosyjskiego, znalazł obronę w mocnej władzy administracyjnej i sile wojskowej“.

Według zdania rosyjskich historyków i publicystów dzisiejszych, Polska nie tylko nic nie straciła, lecz zyskała nawet na pozbawieniu jej samodzielności państwowej.

„Samowładztwo panów z teorytycznych marzeń przeszło do rzeczywistości.

Panowie mogli żądać pańszczyzny w takich rozmiarach, jakie sami nakładali. Ich władza nad osobą włościanina niczem nie była krępowaną. I chociaż karać śmiercią włościan nie mogli, lecz prawo chłosty było im dane bez ograniczeń. Oprócz tego pan posiadał prawo oddawania włościan w rekruty (na 25 lat) i wysyłania ich na mocy własnego wyroku do Syberyi na osiedlenie. O formowaniu hajdamackich szajek mowy teraz być nie mogło, a i uciekać było o wiele trudniej.

Dochody z dóbr pańskich zaczęły się teraz zwiększać i w początkach XIX stulecia urosły dziesięcio, a nawet dwunastokrotnie w porównaniu z tem, co było za czasów Rzeczypospolitej.

Stosunek panów do włościan w kraju południowo-zachodnim był prawdopodobnie ani gorszy, ani lepszy, jak i w innych miejscowościach. Tasa-

ma samowola, ten sam system podkupu urzędowych figur z administracyi, który widzimy w całem cesarstwie rosyjskiem".

Cóż za zbrodnię popełniła szlachta, skoro wzmagał się jej dobrobyt, skoro stosunki pańszczyźniane były takie same jak w Rosyi i obowiązywało jednakie prawo? Że prawo było niesprawiedliwe dla całej warstwy ludowej, jest to winą wieku i prawodawstwa, ale nie ludzi korzystających z praw.

„Pan tylko siebie za człowieka uważał, zgoła niedopuszczając myśli, aby i włościanin mógł być człowiekiem. Ciągłe chłosty i nadużycia czyniły los ludzi dworskich wprost do niewytrzymania. Oddzielnej kategoryi służby dworskiej nie było, pan brał ze wsi tyle sług, ile mu się podobało i takich, jakich chciał, trzymając ich we dworze, stosownie do swej woli, po lat kilka, po lat kilkadziesiąt, a czasem i przez całe życie. Ta nieszczęśliwa służba dworska była skazaną nie tylko na pracę niewolniczą, lecz i na znoszenie wszelkich kaprysów swego pana.

Jeżeli przypatrzymy się kulturze szlachty naszego kraju, to będziemy musieli przyznać, że była ona nader słaba. W latach 40- 60 XIX. wieku w całym kraju było trzy *rarissimae aves* — trzech magistrów, z dalekich przytem uniwersytetów. Wogóle zaś szlachta rzadko kończyła szkoły, a do uniwersytetu wstępowali właściwie nie panowie, a dzieci drobnej szlachty służebnej.

Literatura, mająca prawo obywatelstwa w społeczeństwie szlacheckiem, była niebogata, tendencyjna pod względem kierunku i pozbawiona elementów społecznych. Dają się w niej zauważyć dwa najbardziej wybitne kierunki, z jednej strony idealizacya szlacheckich zasad w historycznych opowieściach Pola i mdławo-filozoficznych wierszach Krasińskiego, a z drugiej strony tak zwana szkoła ukraińska.

Nie należy jednakże sądzić tej szkoły, fałszywie opierając się na jej nazwie.

To, co Polacy nazywali szkołą ukraińską, nie miało właściwie nic wspólnego z Ukrainą. Były to poematy lub opowieści z quasi-ukraińskiej mitologii, lub rozprawy z czasów historycznych, które sławiły rycerskość szlachty w walce z kozakami. Kozak w utworach szkoły ukraińskiej był wystawiony bądź jako wierny sługa pański, bądź jako bandyta bądź jako postać fantastyczna, którą nawet opisać jest rzeczą niemożliwą.

Tak naprzykład w utworach jednego z poetów tej szkoły, Olizarowskiego cała treść poematu w tem się streszcza, że kozak na prośbę swej ukochanej rzuca się dopędzać chmurę, by onej chmury kawałek przynieść jej w podarunku.

Pominę poematy Słowackiego, jako poety, który sam o sobie mówił, że jest zupełnie subjektywnym i że opisuje nie to, co było w rzeczywistości, lecz to, co pragnął w niej znaleźć".

Należy pamiętać o tem, że są to sądy i poglądy człowieka, stojącego na świeczniku ukraińskim, przewodnika narodu. Możnaby z naszym Acernem powiedzieć: ślepi wodzowie ślepych...

Słowem, społeczeństwo polskie, współczesne Antonowiczowi, miało być nicością moralną i umysłową.

Antonowicz potrafił wynaleźć wsród szlachty kresowej nawet to, czego żaden Rosyanin nie dostrzegł, czego nawet Bibikow nie mógł znaleźć — jezuitów. A co też wyrabiali ci jezuici, proszę tylko posłuchać. Niezadługo przeczytamy to w ruskich podręcznikach szkolnych:

„W tem mało kulturalnem i apatycznem społeczeństwie szlacheckiem znalazła się grupa ludzi, którzy zdecydowali się wykorzystać taki stan rzeczy i schwycić wszystko w swoje ręce. Byli to jezuici, których klasztory były pozamykane i którym pobyt w Rosyi był oficyalnie zabroniony, co wszakże nie przeszkadzało temu, że organizacya jezuicka istnieć nie przestawała, a należeli do niej ludzie różnych stanów związani z organizacyą ślubem posłuszeństwa (*jesuites à robes courtes)*.

Aby mieć wpływ na szlachtę, postarali się oni skodyfikować wszystkie zasady, które błądziły wśród społeczeństwa, nie ujęte w żadne formy, a do głównych zasad zaliczono — katolicyzm, polski patryotyzm i szlachectwo, jako dogmat. W tym czasie, gdy miałem możność spotkać tych ludzi, prowincyałem ich na kraj południowo-zachodni był znany kaznodzieja kijowski ksiądz Godlewski, a udział w zgromadzeniu przyjmowało bardzo wielu ludzi wolnych profesyi, głównie zaś nauczycieli domowych.

Widząc nieokreśloność społeczeństwa szlacheckiego, jezuici usiłowali zlać jego dążenia w pewien zorganizowany system, dzięki czemu od razu zdobyli duże wpływy. W tym również celu obsadzali oni swoimi członkami ekonomiczne i pedagogiczne posady u panów, tak że nie było prawie bogatszego domu, gdzieby jezuita nie zajmował stanowiska — rządcy, nauczyciela, kapelana, lub czegoś w tym rodzaju.

Członkom swoim stwarzali oni głośną a niezasłużoną reputacyę i ja sam spotykałem się u pewnego bogatego pana z nauczycielem Postępskim, posiadającym świadectwo domowego guwernera, którego jednakże wszyscy uważali za magistra matematyki. W tem sposób jezuici nietylko kierowali społeczeństwem szlacheckiem, lecz i ciągnęli stąd zyski materyalne.

Umieli oni skłonić wiele osób z amożnych do zapisów na rzecz zakonu (Berezowski, Waszyński), werbowali młodych ludzi, formując z nich początkowo religijne bractwa, w rodzaju bractwa serca Jezusowego, których członkowie obowiązani byli spełniać pewne religijne obrządki i płacić składki, a na wybitniejsze pośród nich jednostki zwracali szczególniejszą uwagę, wprowadzając takowe do swojej organizacyi".

Oto tak wygląda Ukraina-Ruś Hruszewskiego pod piórem miłującego lud wiejski odszczepieńca. Nic dziwnego. Antonowicz był sprawiedliwym, bo nawet ojcu i matce czarnych barw nie żałował.

Obarczając szlachtę kresową najrozmaitszymi zarzutami, oczywiście i to przypomniał, że nadużywała prawa pańszczyźnianego i kazała robić chłopom 6 dni w tygodniu.

Zapomniał tylko o pewnych drobnostkach. Nadużycia jeśli były, to z winy niedołężnego rządu, że prawo zwyczajowe ludu szanowano, że w święta ludowe nie było pańszczyzny — a któż policzy owych Aleksijów czołowikiw bożych, Dmytrów, Iwanów etc.!, że było 19 świąt kościelnych, 19 galowek (tabelnyje dni) i 52 Niedzieli. Zapomniał dodać, że chłop nie płacił podatków, tylko „pan" za niego, nie płacił za używaną ziemię, brał budulec z dworskiego lasu, bezpłatny opał; że „pan" budował dla niego cerkiew, parochowi dawał opał, budulec i ziemię. Jużci — to była wielka krzywda ludowi, bo przecież coś u „pana" zostało jeszcze.

Nie mam zamiaru bronić nadużyć, ale — wylew żółci jest zawsze tylko chorobą.

Widzieliśmy już, że Antonowicz odbywał wakacyjne wycieczki z Bryckiego do siostry. Na tem bynajmniej nie zakończyło się. Po roku 1850 przybierały one charakter regularny i kierowane były myślą poznania ludu wiejskiego. Gdyby Antonowicz znalazł się w otoczeniu ludu polskiego, gdyby miał możność poznania jego życia i otaczającej go przyrody, byłby się niezawodnie stał jednym z najwybitniejszych polskich etnografów. Los pokierował nim inaczej. Rozbudzony umysł młodzieńca fantastycznemi powieściami Czaykowskiego, podniecony czytaniem Skałkowskiego, stworzył

w swojej wyobraźni Kozaczyznę nie istniejącą nigdy, na którą powieściopisarz patrzał przez pryzmat poezyi, a historyk opowiadał tylko końcowy ustęp z jej życia. Zainteresowany Kozaczyzną, jako objawem społecznym, wojskowym, a poniekąd państwowym, zapragnął poznać sfery ludowe, z której urodziła się Kozaczyzna. Do tego celu wiodła tylko podróż piechotą, z tobołkiem na plecach, od wsi do wsi.

Taką drogę poznawania wybrał Antonowicz, a nie można zaprzeczyć, że była to droga najkrótsza i najlepsza. Nie przyniosła wszakże pozytywnych i dodatnich rezultatów. Stała się tylko podkładem i materyałem do przyszłej pracy i budowy.

Z tego co czytał Antonowicz w okresie do roku 1860, wrażliwa dusza młodzieńca wchłaniała i odczuwała tylko pierwiastki wszechludzkie i na tej kanwie rysowała się w jego wyobraźni olbrzymia postać ludu-męczennika, pracującego na roli, przykutego do roli, zależnego, jak niewolnik prawie, od siły państwowej, która się nazywała strasznem dla niego imieniem — pan. Prosty umysł ludu nie sięgał głęboko, nie widział gdzie i w czem leżą krępujące go łańcuchy, on widział tylko ostatnie ogniwo tego łańcucha w panu. I Antonowicz łatwo przyswoił sobie nie tylko psychologię ludu, lecz jego pogląd na własną dolę. Poznanie nielicznych wówczas dzieł historycznych, obejmujących mniej lub więcej szeroko dzieje polsko-ruskich zatargów (Markiewicz, Historya Russow, Kamieńskij) — polskie opracowania prawie nie istniały — pokazało mu straszny obraz prześladowania i gnębienia tego ludu przez państwo polskie. W tych argumentach — przesadnie fałszywych — znalazł nie tylko poparcie usprawiedliwienia i wytłumaczenie genezy krzywd ludu, ale znalazł winowajcę tych krzywd. Był to w jego przekonaniu, a raczej w przekonaniu historyków rosyjskich, szlachcic polski, spadkobierca swawoli i nadużyć, jak mniemano, dawnej Rzptej polskiej — pan polski. W ten sposób znalazł niejako poszukiwaną niewiadomą, zapomocą której mógł odtąd rozwiązywać wszelkie zagadnienia przeszłości, którą mógł podsunąć pod każdą kwestyę społeczną, ekonomiczną, historyczną i rozwiązać ją z łatwością.

Tak więc szkoła, literatura, książka, jednostronne i fałszywe z jednej strony, z drugiej żywa masa ludowa, odrębna od polskiej i rosyjskiej, pozwoliły młodzieńcowi nie tylko formułować pojęcie odrębności szczepowej, lecz wynaleźć dla przyszłości i teraźniejszości klucz otwierający ciemnie dziejowe, a dla przyszłości drogowskaz. Kluczem — były jakoby jakieś wielkie winy Rzptej względem Rusi w przeszłości, w teraźniejszości „pan“ stawał się biczem bożym, a najbliższa nadzieja na lepszą przyszłość — wyrwanie chłopa ruskiego z rąk pana-Polaka. O panu-Rosyaninie mowy nie było, bo nie wolno było mówić o nim z tego stanowiska co o Polaku.

I o to geneza rozbudzenia miłości dla ludu i nienawiści dla jego wrzekomych gnębicieli. Wyrabiało się powoli przekonanie, niczem nieuzasadnione, oprócz sentymentalizmu, że spodem fala ludowa niosła wszystko co było śród ludności najlepszego i najszlachetniejszego, a górą płynął prąd ciemiężycieli, gnębicieli, wyposażony we wszystkie możliwe wady i błędy. Jednych można było tylko miłować, drugich, tylko nienawidzieć. W dalszym ciągu życia Antonowicz te pierwiastki wzmacniał i rozwijał.

I oto w ten sposób powoli formowały się w młodzieńczym zapalnym, a niewyrobionym umyśle, poglądy ukrainofilskie, miłość pełna sentymentalizmu i uniesienia, na razie bez żadnego prawie oparcia, wynikająca z nieokreślonej litości i sympatyi. Podstawy dla sentymentu znalazły się później. Powiedziałem, że gdyby przypadek rzucił był późniejszego historyka Rusi w sferę ludu polskiego, byłby się stał tak samo zagorzałym jego obrońcą jak stał się obrońcą ludu ruskiego. W Rosyi byłby Sacharowem, w Serbii — Wukiem Koradziczem. Nosił w duchu swoim i charakterze ideę miłowania słabych i upośledzonych, a uporczywość, z jaką trwał przy raz powziętych przekonaniach, pozwalała mu wytrwale i konsekwentnie w raz powziętym kierunku pracować.

Nie wiemy czy ta wędrówka wzdłuż i wszerz prawosławnej Rusi wydała jaki plon naukowy — mało śladów pod tym względem pozostało — ale zadzierżgnęła między nim a Rusią niewidzialny węzeł sympatyi i niewątpliwie stała się impulsem do badań historycznych i do wyboru drogi pracy na całe życie. Natrafiał w tej podróży na świeże jeszcze podania o hajdamakach, na legendy kozackie o walkach z Polakami, oglądał ruiny Siczy, a to wszystko, podsycane wspomnieniem książkowych wiadomości, formowało w duchu zbyt jednostronnym poglądy młodzieńca na przeszłość i teraźniejszość ludu wiejskiego.

Kilka lat trwały takie wycieczki w przebraniu chłopskiem; świty włościańskie i długie buty otwierały im drogę do chat wiejskich i do dusz wiejskich. Wołyń, Podole, Ukrainę Chełmszczyznę, tak zwaną Noworosyę, dawne Dzikie Pola aż do morza — wszystko przemierzył nogami własnemi. Takie wędrówki nie mogły były ujść czujności władz, tem bardziej że młodzi zapaleńcy, wracając z wakacyi, dzielili się z kolegami swemi wrażeniami. A działo się to, jak powiedziałem, w chwili dużego rozbudzenia się życia umysłowego, szczególnie śród młodzieży akademickiej w Kijowie. Młodość lubi krytykę, chociaż rzadko zdaje sobie sprawę do czego bezwzględna krytyka własnego narodu i społeczeństwa zaprowadzić może. Otóż, owe sprawozdania młodych zapaleńców nacechowane były zbyt lekkomyślnem potępieniem szlachty i całego szlacheckiego społeczeństwa na Rusi. „Pan“, „szlachcic“ stał się kozłem ofiarnym, odpowiedzialnym i za siebie i za system rządowy rosyjski. Obwiniano nie rękę, ale miecz. Ponieważ taka krytyka, zbyt głośna, przybierała charakter epidemi złośliwej, nic dziwnego że budziła ona niepokój, zarówno ze strony rządu jak i krytykowanych szlachciców. Niepewność rzeczywistego stanu rzeczy. zwiększała obawy, które przybierały na się potworne kształty. Obawiano się rozruchów, zawichrzeń, rzezi. Świeżo jeszcze tkwiły w pamięci krwawe wypadki „zapisywania w kozaki“. Ażeby wyświetlić całą sprawę, postanowiono oddać ją do sądu szlachcie. Antonowicz do-

stał wezwanie od marszałka berdyczowskiego, do którego juryzdykcyi należał, ażeby się stawił i usprawiedliwił się z pogłosek, obiegających o nim, jakoby szerzył ateizm, nienawiść do szlachty, a lud wzywał do rzezi „panów". Antonowicz stawił się. Nietrudno było usprawiedliwić się — z pogłosek. Słodko wymowny Bobrowski, który sam w swoich *Pamiętnikach* splugawił całą szlachtę na Rusi zamieszkałą, skorzystał z okazyi wygłoszenia mówki. A szlachta, znając tę słabostkę petersburskiego liberała, zbyt mało dawała mu okazyi do gadania. Wybrząkał tedy swą mowę na temat, że — nie trzeba prześladować ludzi za teoretyczno-filozoficzne przekonania i że dobrze jest że młodzi ludzie nie tracą czasu na hulanki, lecz pracują nad kwestyami społecznemi. Właśnie mówił o tem czemu nikt nie zaprzeczał wcale, a zbyt przewidującym nie okazał się.

Rząd ze swej strony pragnął wyjaśnić, ile też w mętnych pogłoskach leży prawdy, a właściwie czy nie jest to akcya antyrządowa.

Antonowicz, oskarżony o utworzenie komunistycznego stowarzyszenia, został wezwany przez jenerał-gubernatora do wytłumaczenia się. Z tego tłumaczenia się wynikło jedno tylko — zdeklarowana nienawiść Antonowicza do szlachty. To nietylko nie było zbrodnią wobec rządu rosyjskiego, ale przeciwnie — tolerowano ją jako wybryki młodzieży nieszkodliwe. W cichości podzielano przekonanie, że mogą one być nawet pożyteczne. Niedługo trzeba było na to czekać.

Kolega i przyjaciel Antonowicza Tadeusz Rylski, jako młodzieniec bardziej krewki, a mniej ostrożny, pozwalał sobie wobec komisyi na różne ekskursy i — skazany został na wysłanie do Kazania. Antonowicz wyszedł cało.

W każdej działalności swojej był przedewszystkiem organizatorem i a g i t a t o r e m. Działalność ta da się podzielić na dwa wielkie okresy: do roku 1863 wyłącznie społeczna, z domieszką marzeń politycznych; od r. 1863 naukowa, w myśl zadań polityki rosyjskiej. Dopiero w drugiej połowie drugiego okresu, po r. 1880, przeszedł stanowczo na pole pracy, nie mającej żadnego związku z polityką i ideą społeczną — do archeologii. W tym też porządku, równorzędnie z jego życiem, rozpatrzymy pokrótce działalność tego niezwykłego, dziwnego, zagadkowego i tajemniczego człowieka, z wykluczeniem archeologii.

Początki działalności jego w uniwesytecie jeszcze ograniczały się do wpływu na młodszych i zapaleńszych kolegów, którzy nie mogli znaleźć drogi do zużytkowania nadmiaru posiadanej energii. W tym przyłomowym czasie w dziejach Rosyi, Antonowicz z medycznego wydziału przeniósł się na historyczno-filologiczny, i umacniając swoje przekonania antypolskie powagą pofesorów, rozpoczął samodzielne studya nad dziejami Rusi pod duchowem przewodnictwem „kazionnych historyków". Dla tych studyów miał już z góry sformułowane poglądy przez mistrzów swoich, miał ramy gotowe dla przyszłych prac nad dziejami Rusi. Nie trudno się było domyśleć, jakie obrazy w te ramy wprawiać będzie. Droga jego przyszłości zarysowywała się wyraźnie, zagadką tylko było, komu służby swoje ofiaruje. Ubogi, skromny, pracowity, oddany wyłącznie studyom historycznym, lekcyami prywatnemi zarabiał na chleb powszedni. Równocześnie jednak brał gorący i żywy udział w życiu akademickiej młodzieży polskiej.

Wspomniałem już o tem, że rok 1856 można uważać za przełomowy w życiu polskiego społeczeństwa na Ukrainie, że od tej chwili rozpoczęła się inna doba życia dla młodzieży akademickiej uniwersytetu kijowskiego. Jeżeli uznanie potrzeby rozwiązania kwestyi włościańskiej i powszechne zainteresowanie się nią całego polskiego wykształconego ogółu można przyjąć za chwilę rozbudzenia się społecznego, to narodowe przebudzenie się Ukrainy, na czele którego stanęła młodzież uniwersytecka w Kijowie, niewątpliwie przypisać należy wpływom polskiej emigracyi, skupionej przeważnie w Paryżu i Londynie. Wszystkie ideały emigracyjne, z Polską od morza do morza, z wolnym ludem, z przesadną wiarą we własne siły, z wiarą w możność rozwiązania kwestyi polskiej tylko orężem — wszystko to stało się programem demokratycznym młodzieży kijowskiej. Pod hasłem tych ideałów rozpoczął się ruch narodowy, agitacyjny. Centralizacya paryska miała wszędzie swoje agencye, swoich ludzi. W. Antonowicz był jednem z jej narzędzi, bardzo czynnych. W r. 1860 przyjeżdżali na kontrakty kijowskie redaktor *Constitutionel'a* i Lévy, zaszczycony niegdyś przyjaźnią Adama Mickiewicza, i zbierali składki na mające się formować legiony polskie. Już wówczas istniały w Kijowie organizacye akademickie i w całym kraju zawiązywały się tajne grupy antyrządowe. Były to roboty przygotowawcze, mające na celu skupianie ludzi pod jednym sztandarem narodowym, koło jednej idei — potrzeby wyzwolenia się z jarzma. Wówczas Antonowicz uchodził jeszcze za gorącego Polaka, podzielającego te poglądy i hasła, a jego ostre deomokratyczne przekonania, noszące wybitny charakter demagogii, niezbyt raziły przewódców, którzy oddawali się złudnemu marzeniu, że w imię ideałów kozaczyzny, z polską szlachtą pójdzie do walki o wspólną wolność — ruski lud. Tkwiła w tem głęboka nieznajomość psychiki tego ludu.

Nie wiemy, w jaki sposób Antonowicz zbliżył się z Centralizacyą, dość że z jej ramienia był czynnym. Jeśli wierzyć członkowi Komisyi śledczej w Wilnie N. B. Gogielowi, Antonowicz w r. 1860 jeździł jako emisaryusz ukraiński z listami do Petersburga, widział się tam z Ohryzką i innymi, informując o stanie robót przygotowawczych w kraju. Odwiedzał także Warszawę, gdzie stykał się z Kraszewskim, Moskwę, gdzie porozumiewał się z Kiniewiczem i Dalewskim. Pierwszy, jak wiadomo, był rozstrzelany za usiłowanie zrobienia dywersyi na rzecz walczącej Polski, w Kazaniu; drugi powędrował na Sybir do ciężkich robót[1]). Słowem działalność

[1]) N. B. Gogiel: J o z a f a t O h r y z k o i P i e t i e r b u r g s k i j r e w u l u c i o n n y j r ż o n d. Autor tego dziełka, członek Komisyi Wileńskiej w r. 1863 za czasów Murawjewa, mógł znać szczegóły działalności politycznej Antonowicza z zeznań innych. Zeznania te spóźnione, nie przyniosły szkody Antonowiczowi, który już od r. 1861 „powrócił do narodu

Antonowicza była dla Rosyi świadomie szkodliwą, a całkowicie poświęconą sprawie polskiej. W tym okresie, jakkolwiek gorący przyjaciel ludu ukraińskiego, jak wielu młodzieży akademickiej, stał w zupełności na gruncie programu historycznej Polski i z polityki ogólnopolskiej nie wyłączał Rusi. W kilka lat później, gdy już stanął zdecydowanie i jasno po stronie rządu, jak wielu przed nim już to uczyniło, Komisye śledcze w Wilnie i Kijowie wykryły współudział Antonowicza w pracy przygotowawczej do powstania, ale wciągu ostatnich dwóch lat pojęcia jego polityczne i przekonania społeczne tak się wyklarowały, że stał się głównym, popularnym i stanowczym wrogiem polskości. Klęska roku 1863 wyleczyła go ze złudzeń, a wzmocniła w nim krytycyzm polskiego społeczeństwa. Rząd rosyjski zrozumniał rychło, ile pożytku odnieść może w walce z polskością od takiego gorącego i w broń stosowną zaopatrzonego sojusznika, jakim się okazać już zdołał Antonowicz. Rozpędzając przeto wszystkich po Sybirach i Uralach, Antonowicza zostawił w spokoju. Czekała na niego praca dalszego plugawienia dawnej Rzptej polskiej. Stał się on dla historyi i polityki państwowej tem, czem Bobowscy i Siemaszkowie dla prawosławia, o tyle pożyteczniejszym od nich, że pociągnąwszy całą inteligencyę ukraińską ku przeszłości, oceniał tę przeszłość z punktu polityki i nauki rosyjskiej, rozbudził bezpodstawną nienawiść do Polski, zamknął zupełnie przed nią oczy na przyszłość i utopił w żółci i goryczy własnej ideę pożytecznej pracy dla Rusi.

(C. d. n.) *Fr. Rawita-Gawroński.*

Wiadomości polityczne.

Subwencye hodowlane.

Jest to sprawa, która ma swoją historyę i to smutną historyę (po.r *Rplta* r. 1909 str. 273 i r. 1910 str. 3, 11, 20, 57, 173). Jak wiadomo, w grudniu r. 1909, gdy po długich zabiegach p. Głąbińskiego, parlament miał być uruchomiony dzięki wnioskowi pp. Kreka i Kramarza w sprawie zmiany regulaminu, jedynie Rusini robili obstrukcyę za pomocą wniosków nagłych pp. Trylowskiego i Petruszewicza. Chodziło o przejednanie Rusinów przez jakieś ustępstwo na ich rzecz. Wtedy, d. 15. grudnia 1909, stanął układ między prezydyum Koła polskiego a prezydyum klubu ruskiego w sprawie rozdziału subwencyi hodowlanych i d. 21. grudnia 1909 na komisyi gospodarczej kierownik ministerstwa rolnictwa p. Popp złożył, dosłownie wedle układu, oświadczenie, przewidujące, że „kwoty mające być przeznaczonemi do rozdziału między poszczególne towarzystwa, będą rozdzielone między oba narody Galicyi na podstawie istniejącego stanu bydła“. Układ ten, naruszający zasadę jedności administracyjnej kraju, wywołał w kraju żywe wzburzenie, tem bardziej, że *Słowo Polskie*, chcąc osłonić ówczesną politykę Koła Polskiego, przeczyło jakoby układ istniał i szerzyło w tej sprawie wiele nieprawdy. Także obecnie, gdy ostatecznie przyszło do zapłacenia kosztów tego układu i nastąpił rozdział między towarzystwa polskie i ruskie, *Słowo Polskie* (z d. 18. stycznia b. r.) usiłowało przerzucić winę na Wydział krajowy, ale zast. marszałka p. Tadeusz Pilat odparł natychmiast te zarzuty (*Gaz. Nar.* z 21. stycznia).

Na Galicyę przypada z owych subwencyi hodowlanych (ustawa z 30. grudnia 1909) przez dziewięć lat po 1,428.933 kor. Wprawdzie w lutym 1910 komisya sejmowa uchwaliła projekt rezolucyi, domagającej się, aby całą tę sumę użyto na cele ogólne, nie rozdzielając nic między towarzystwa, ale na pełny Sejm rezolucya ta wówczas nie przyszła, a zresztą rząd, oparty o układ polsko-ruski i związany swem oświadczeniem na podstawie tego układu, nie uwzględnił tego życzenia. Więc też już w mowie na otwarciu sesyi sejmowej d. 22. września 1910 p. Namiestnik zawiadomił Sejm, że właśnie na krótko przedtem postanowił przeznaczyć na cele ogólne kwotę 1,028.933 kor. a na rozdział między towarzystwa polskie i ruskie 400.000 k.

Z kwoty 1,028.933 kor. przeznaczono: na melioracyę łąk i pastwisk 450.000 kor., na ubezpieczenie bydła 150.000 kor., na popieranie mleczarstwa 180.000 kor., na buhaje 120.000 kor., na poparcie zbytu bydła 128.933 kor. W myśl ustawy ministerstwo miało używać tych kwot w porozumieniu z Wydziałem krajowym. Otóż komunikat, który ukazał się w pismach d. 18. stycznia zawiadamia, że „użycie kwot na te cele ogólne poruczono Wydziałowi krajowemu, który odnośną akcyę na cały kraj będzie prowadził i poczynił już w tych kierunkach wstępne zarządzenia“. *Diło* z d. 27. stycznia b. r. zgłasza w obszernym artykule ukraiński pogląd na to jak ma się używać tych sum i tak rzeczy przedstawia, że Wydział krajowy tylko „czyni wszelkie zabiegi, aby zużytkowanie subwencyi w całości dostać w swoje ręce, tak aby faktycznie on a nie ministerstwo stanowiło o użyciu tych sum“.

Kwota 400.000 rozdzielona została między towarzystwa rolnicze w następującym stosunku (obowiązującym na razie na r. 1910 i 1911): Towarzystwu Gospodarskiemu we Lwowie 120.000 kor., Towarzystwu Rolniczemu w Krakowie 60.000 kor., Tow. Kółek rolniczych 86.667 kor., Tow. Silskij Hospodar 133.333 kor.

---

ruskiego“, zdołał się dać poznać jako zdecydowany wróg wszelkich polskich aspiracyi, w powstaniu udziału nie wziął, a w chwili gdy się odbywały w Wilnie tortury, jako urzędnik jenerał-gubernatora kijowskiego, był głównym redaktorem aktów kijowskich. Stanowsko to zbyt ważne i zbyt wyraźnie zaznaczone przez nowego redaktora. Przyjęcie prawosławia w tym czasie uchroniło go od Sybiru i prześladowań. Z chwilą objęcia stanowiska redaktora Komisyi stał się współpracownikiem rządu w walce z Polakami. Majaczenia zaś ukrainizmu rząd rosyjski wówczas już jak i dziś nazywa „duraczenstwo-m“.

Matka Gogiela, Olizarówna z domu, rozwiedziona z Chodkiewiczem z Młynowa na Wołyniu, poślubiła starego jenerała artyleryi, Gogiela. Syn z tego małżeństwa, wstąpił do artyleryi przed powstaniem, stacyonował w Sołotwinie, mówił dobrze po polsku, udawał liberała i przyjaciela Polaków. Przebiegły, przewrotny, udaną szczerością łudził nieraz więźniów i wywoływał potrzebne mu zeznania. Jako znający dobrze polski język, wszedł do Komisyi śledczej Murawjewa-Wieszatiela, gdzie ogromne oddawał usługi

W myśl zasady, że rozdział nastąpi „między oba narody Galicyi na podstawie istniejącego stanu bydła“, towarzystwo ruskie otrzymało równo $^1/_3$ całej sumy. Całą tę sumę otrzymało tow. Silskij Hospodar. Trzeba przypomnieć, że do końca r. 1909 było to małe towarzystwo lokalne liczące 222 członków. Rozwinęło się ono i wzrosło właśnie pod wpływem sprawy subwencyi hodowlanych i z widokami na nią. Dnia 23. września 1909, głównie za sprawą posła E. Oleśnickiego, zamienione zostało ono na ogólno-krajowe, w grudniu 1909, w chwili rozstrzygania sprawy subwencyi, odbył się zjazd w Przemyślu, nastąpiło pozyskiwanie na gwałt i z wielkim rozmachem członków, pod hasłem subwencyl i zjednano ich do końca r. 1910 nie mniej niż 12.506. Tak więc towarzystwo ruskie, istniejące od roku zaledwie, otrzymało większą sumę niż towarzystwa polskie, znacznie silniejsze, od dziesiątek lat istniejące, o wypróbowanej działalności, bardzo zasłużone, a nadto, jak lw. Tow. Gospodarskie, służące ludności ruskiej na równi z polską. To zestawienie najlepiej wskazuje, jaki zamęt i jaką niesprawiedliwość wniósł układ oparty na narodowym katastrze bydła i wprowadzający podział narodowościowy w administracyę gospodarczą.

Ale ukraiński Silskij Hospodar nie jest jedynem towarzystwem rolniczem ruskiem. Także obóz staroruski, moskalofilski założył sobie tow. Rolnyczyj Sojuz. Towarzystwo to nie otrzymało nic, chociaż pierwotnie miało ono dzielić z towarystwem ukraińskiem ruską część subwencyi. Pos. Kuryłowicz pisze w *Prykarpackiej Rusi*, że Rolnyczyj Sojuz miał otrzy-33.333 kor., ale namiestnik Bobrzyński sprzeciwił się temu. Na to odpowiada *Diło* (z d. 3. lutego), w korespondencyi z Wiednia, że było całkiem inaczej: wedle projektu namiestnika Bobrzyńskiego miały oba towarzystwa ruskie otrzymać równo po 50.000 kor. (t. j. razem 10..000 a nie 133.333 kor.), ale „ukraińscy posłowie pilnowali sprawy“, wykazali w ministerstwie, że Rolnyczyj Sojuz jest towarzystwem nikłem i odnieśli zwycięstwo. Jakikolwiek był przebieg tej sprawy, to jednak wydaje się rzeczą pewną, że ukraińscy posłowie rzeczywiście odnieśli zwycięstwo.

Ważną jest rzeczą na jakie to cele mają towarzystwa używać przyznanych sobie subwencyi: za wystawy przeglądowe, na premiowanie stajen i gnojarń włościańskich, na wykłady, stypendya i wystawy mleczarskie, na wędrowne wykłady hodowlane, na popieranie uprawy roślin pastewnych. Wyliczenie to wykładów, wystaw, premiowań, odrazu wskazuje, że są to cele nawskróś agitacyjne, a zarazem znakomicie nadające się do wynagradzania stronników politycznych. Wobec tego trzeba przypomnieć, że p. Namiestnik w mowie swej z d. 22. września 1910 oświadczył, że używanie tych subwencyi przez towarzystwa odbywać się będzie „pod najściślejszą kontrolą ministerstwa rolnictwa“ i życzyć sobie trzeba, aby tak było rzeczywiście przynajmniej o tyle... o ile to jest możliwe.

Tak więc układ prezydyum Koła Polskiego z prezydyum Klubu ruskiego z d. 15. grudnia 1909 w zasadzie naruszył jedność administracyjną kraju, a w praktyce dał stronnictwu rusko-ukraińskiemu, o ile stosunek z lat 1910 i 1911 nadal będzie zachowany, w ciągu dziesięciu lat okrągłą sumkę 1,200.000 kor. na cele gospodarczo-agitacyjne.

Na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Chwila przełomowa w zaburzeniach krakowskich już, zdaje się, wybiła.

Pierwszą strugą zimnej wody, wylaną na rozpalone głowy młodzieży postępowej, było nieprzyjęcie jej deputacyi wiedeńskiej przez ministra Galicyi p. Zaleskiego, szefa sekcyi p. Ćwiklińskiego i ministra oświaty hr. Stürgha.

Punktem zwrotnym zaś była mowa hr. Stürgha, wygłoszona d. 10. b. m., po wysłuchaniu przedstawicieli Senatu i p. Namiestnika. Mowa ta, rzeczowa, spokojna, stanowcza, musiała odebrać wszelką nadzieję tym żywiołom postronnym, które hasłami agitacyjnemi i brutalnym terrorem chciały zaburzyć Uniwersytet Jagielloński.

A młodzież?

Dzisiaj, po zebraniu około 1.000 podpisów przeciw strajkowi, napewno twierdzić można, że młodzież narodowa odczuła zło i niski poziom ostatniej zawieruchy, wzmocniła się przekonaniowo, rozjaśniła sobie wiele pojęć.

Ale ta biedna młodzież postępowa, która przeciw Senatowi polskiemu kołatała o poparcie u posłów obcych narodowości, której nie otworzyła oczu nawet radość tak zaciętego wroga naszego jak ów prof. Bernhard z Berlina, która jeszcze w ostatnich dniach zamieszczała w pismach najnikczemniejsze oszczerstwa podpisane przez komitet strajkowy, ta młodzież w złych znajduje się rękach. Ostatni jej uczynek jest bodaj jeszcze bardziej płaski niż wszystkie poprzednie wykręty i nieprawdy. Oto socyalistyczny adwokat dr. Heski sporządził dla niej rekursy do ministerstwa przeciw naganom. W rekursach tych, jak *Naprzód* (z d. 14 b. m.) z radością podnosi, przytoczone są następujące cytaty z książki ks. Zimmermanna: o „niebezpieczeństwie germanizacyi psów“, o „psie umiejącym po niemiecku“, o „niemieckich żebrakach“: Jest to obliczone na wywołanie sympatyi u Niemców wiedeńskich, w prasie, w parlamencie, w ministerstwie. I pomyśleć, że każdy z tych studentów podpisał imieniem i nazwiskiem taką tanią i taką marną denuncyacyę. I to mają być młode serca!

Im niższy jest poziom tej roboty, tem bardziej ubolewać się musi, że jednak wichrzenia o tak marnem podłożu zdołały tyle złego narobić. Bo ostatecznie czem się zapełniło zimowe półrocze krakowskie? Wykłady były, ale umysły młodzieży skierowane były gdzieindziej: do tych właśnie zaburzeń, któremi zajęci byli wszyscy, i ci którzy je urządzali i ci, którzy je zwalczali. Naprzód były wiece rozpalające, potem były blokady i walki strajkowe, potem Uniwersytet zamknięto. Oto bilans kilku miesięcy pracy uniwersyteckiej. Gdy się pomyśli, jak marne były pobudki i środki działania, widzi się dopiero, że takie rzeczy trzeba zwalczać odrazu z całą stanowczością, jeśli się chce uniknąć poważnego zamętu w pojęciach i poważnych strat w pracy.

Przed wyborami do Rady m. Lwowa.

W r. b. kończy się kadencya połowy radnych m. Lwowa, wybranych przed 6 laty i podlegających w myśl statutów miejskich nowemu wyborowi. Do liczby 50 radnych, których mandaty wygasły, przybywają w r. b. jeszcze dwa miejsca radzieckie, dla których upływa termin 3-letni. Ogółem więc wybranych ma być 52 radnych. Wybory rozpisał magistrat na 28. b. m. Jesteśmy zatem w przededniu walki wyborczej, którą zresztą rozpoczęły już wiece klubów miejskich i organizacyi dzielnicowych. Walka zapowiada się gorąca. Zbyteczną jest rzeczą przypominać prawdę niezbitą o doniosłej roli, jaką Lwów odgrywa w życiu naszego zaboru, jako jego stolica, tudzież o narodowem jego znaczeniu, jako wielkiego pod każdym względem ogniska polskiego na Rusi Czerwonej. A właśnie w tej mierze, ze względu na skład ustępującego grona radnych a jeszcze bardziej ze względu na czekającą przyszłą Radę reformę miejskiej ordynacyi wyborczej, wybory tegoroczne nie będą pozbawione znaczenia ogólniejszego.

Sprawa gminnej ordynacyi wyborczej wysunie się prawdopodobnie na naczelne miejsce. Stanie się ona hasłem wyborczem przedewszystkiem „Klubu reformy gospodarki miejskiej", który już w czasie obrad nad reformą wyborczą od 21. listopada do 3. grudnia z r. oświadczył się całkiem wyraźnie za pięcioprzymiotnikowem (bez różnicy płci) prawem głosowania. Nie jest to zatem tylko frazes przedwyborczy, ale program polityczny dość znacznego klubu. Na jego podstawie ocenić można wartość polityczną ludzi p. Aschkenasego, pod którego komendą idzie Klub reformy, warto zatem zastanowić się nad argumentami, które mają przemawiać za tą reformą.

Dotychczas uznaną było rzeczą, że prawo wyborcze opiera się albo na pewnych umysłowych albo podatkowych kwalifikacyach wyborców. Jak się te stosunki we Lwowie przedstawiają? Na podstawie dat, zebranych przez miejskie biuro statystyczne w r. 1909, opartych jednak na spisie ludności w r. 1900, we Lwowie mieszka 66.437 mężczyzn i 68.909 kobiet, umiejących czytać i pisać, 1.139 mężczyn i 2.874 kobiet, umiejących tylko czytać, wreszcie 24.971 mężcz. i 33.190 kob., nieumiejących ani czytać ani pisać. Prawie zatem $^1/_3$ część mieszkańców zaliczyć trzeba do analfabetów. — Pod względem siły podatkowej Lwów przedstawia się nie lepiej. Na 200 tys. mieszkańców w r. 1909 było zaledwie 8 tys. osób, które opłacały ponad 16 koron tytułem jakiegokolwiek podatku bezpośredniego. — Stosunki narodowościowe, istniejące we Lwowie, dowodzą pozatem, że powszechna ordynacya wyborcza, nie usprawiedliwiona ani względami intellektualnymi ani majątkowymi, godziłaby wręcz w polski charakter miasta. W r. 1909 na 197.519 ogółu mieszkańców Lwowa było:

rzym.-katolików	103.697
greko-katolików	32.390
innych wyznań	61.432

Złudzeniem byłoby przypuszczać, że większość greko-katolików i żydów zalicza się do polskości. Złudzenia te rozwiać muszą wyniki spisów ludności we Lwowie, które z każdem dziesięcioleciem wykazują w stosunku do ogółu mieszkańców przyrost Rusinów przy jednoczesnem zmniejszaniu się Polakow gr. katolickiego wyznania i niepomierny przyrost Niemców przy nieznacznem cofaniu się procentu osób wyznania izraelickiego. W stosunku do ogółu mieszkańców Lwowa było w r.:

	1880	1890	1900
greko-katolików	15·9%	17·1%	18·4%
Rusinów	5·7 „	7·1 „	9·5 „
Polaków gr.-kat.	10·2 „	10·0 „	8·9 „
izraelitów	28·2 „	28·2 „	27·0 „
Niemców	8·1 „	9·5 „	12·7 „

A więc zarówno ilość greko-katolików-Polaków jak i żydów-Polaków maleje. I według wszelkiego prawdopodobieństwa wobec agitacyi ukraińskiej i syońskiej, co zresztą wykazuje już spis r. 1900, spis tegoroczny potwierdzi to samo.

Tak się przedstawiają „argumenty" za wprowadzeniem powszechnej ordynacyi wyborczej. Wobec przytoczonych cyfr każdemu muszą nasunąć się obawy o przyszłe losy Lwowa, o jego polskość. Obaw tych nie podzielali jedynie wodzireje w klubie reformy. Żądali praw wyborczych dla w s z y s t k i c h własnowolnych obywateli bez różnicy płci, którzy ukończyli 24-ty rok życia! A na czynione zarzuty, mieli jedną odpowiedź: „my niczego się nie boimy".

Większość Rady jednak obawy te miała i uchwaliła swoją reformę, powiedzmy odrazu, pozbawioną wszelkiej głębszej myśli i uchwaloną chyba po to, żeby nigdy nie była wprowadzona w życie. Nowa reforma streszcza się w tem, że dotychczasowi wyborcy wybierają 95 radnych w I kole a 5 radnych w II kole, do którego pozatem prawo wyborcze posiadają wszyscy własnowolni obywatele, którzy umieją czytać i pisać, przebywają w gminie nieprzerwanie 3 lata i mają ukończonych lat 24, ponadto kobiety posiadające wyższe studya naukowe, dla których znosi się przymus zastępstwa. Uchwalona reforma zatem nie zabezpiecza prawnej reprezentacyi szerokich mas a z drugiej strony psuje konstrukcyę dotychczasowego jednego koła. Idąc za wzorem innych miast w państwie austryackiem należało albo stworzyć kilka kół i dać rozmaitym warstwom społecznym zastępstwo ich interesów albo przeprowadzić reformę na zasadzie jednego koła przez obniżenie cenzusu podatkowego i t. d. Panowało jednak w lwowskiej Radzie złudzenie, że tworzenie kilku kuryi jest niedemokratyczne. Okazało się przytem, że ci radni, którzy taką zasadę wygłaszali albo nie znali historyi ustroju konstytucyjnego gminy, albo nie chcieli wysnuć z tej historyi logicznych wniosków. Ordynacya wyborcza Lwowa zawdzięcza swoje jedno koło nie jakimś zasadom demokratycznym jej twórców ale istniejącym wówczas stosunkom ekonomicznym we Lwowie. Wyraźnie to zaznaczył pos. Ziemiałkowski w czasie rozpraw w Sejmie nad statutem m. Lwowa (dn. 12. grudnia 1866 r.): „miasto Lwów nie ma różnic pod względem majątku: u nas najmajętniejszy kupiec lub rzemieślnik jest zarówno biednym, jak i najbiedniejszy; interesa ich te same... W innych miastach tworzenie kół wyborczych jest stosowne dlatego, że lu-

dność jest pod względem majątkowym tak różna, iż najwyżej opodatkowani z najmniej opodatkowanymi nie mają żadnej towarzyskiej styczności".

Wogóle większość Rady w czasie obrad nad zarysem reformy ordynacyi wyborczej wykazała ubóstwo myśli i sporą dozę ignorancyi. Przyczyniła się do tego i niewiara w zastosowanie uchwalonej reformy: uchwalono reformę, byle uchwalić, wiedząc dobrze, że wobec nowych wyborów i nowego spisu ludności ulec ona musi poważnym zmianom. Bądź co bądź jednak rozprawy nad reformą wyborczą stwierdziły niezbicie, które kluby w Radzie zdolne są bronić charakteru polskiego Lwowa, a które zaliczyć należy do szkodników narodowych: klub reformy p. Aschkenasego powinien, przy zbliżających się wyborach, otrzymać naukę, że dla frazesów radykalnych poświęcać interesu narodowego nie wolno.

Ś. p. Mieczysław Brzeziński.

Po Konradzie Prószyńskim (Promyku), nieodżałowanym pisarzu *Gazety Świątecznej* i genialnym autorze elementarza, po Maryi Dzierżanowskiej, najwybitniejszej działaczce w dawnem Towarzystwie Oświaty Narodowej, zeszedł do grobu Mieczysław Brzeziński, współredaktor *Zorzy* — niezmordowany pracownik na polu uświadamiania ludu, doskonały pisarz ludowy i popularyzator. Urodzony w r. 1853 w Warszawie, po ukończeniu gimnazyum wstąpił do Uniwersytetu warszawskiego na wydz. przyrodniczy, którego jednak nie ukończył w Warszawie z powodu aresztowania i trzechletniego więzienia i później z powodu ponownego aresztowania został z uniwersytetu wydalony i naukę kończyć musiał w Uniwersytecie Jagiellońskim. W r. 1883 rozpoczął działalność pisarską i wydawniczą, w 1892 został współredaktorem *Zorzy*, którą prowadził do zgonu. Jako kierownik pisma ludowego, jako autor licznych artykułów i broszur zawsze stał na stanowisku ogólno-narodowem, nie zniżając się nigdy do schlebiania masie ludowej, nie siejąc waśni społecznej, nie wysuwając naprzód swojej własnej osoby. Postawił sobie szczytne zadanie: poświęcić się uobywateleniu ludu, wzbudzić w nim uczucia narodowe, uśpione długoletnią niewolą, związać go z resztą społeczeństwa przez uświadomienie mu istoty interesu narodowego. Był w czasach dla pracy wśród ludu najgorszych, zdolnym i ofiarnym nauczycielem ludu polskiego. Cześć Jego pamięci.

Kronika.

Z zaboru austryackiego.

Spis ludności na Śląsku. Jak donosi *Dziennik Cieszyński* spis ludności na Śląsku wypadnie dla Polaków nad wyraz niepomyślnie a to z powodu niesłychanych bezprawi popełnianych przez czeskich komisarzy spisowych. N. p. w porównaniu z r. 1900 liczba Polaków spadła: w Muglinowie z 960 do 459, w Pietwałdzie z 3952 do 1308, w Dziećmorowicach z 3000 do 752. W dn. 19 b. m. ma się odbyć w Orłowej wiec manifestacyjny w celu poruszenia czynników rządowych, uratowania ukradzionych przez Czechów dusz polskich i ukarania nadużywających władzy urzędników czeskich.

Wiec 30-stu miast. W dn. 5. b. m. odbył się we Lwowie zjazd reprezentantów 30 miast mających prawo poboru opłat od spirytusu, który po wysłuchaniu referatu dra Steuermana uchwalił rezolucyę z wyrażeniem przekonania, że obecnie obowiązująca instrukcya jest niewystarczająca i że należy nadać gminom prawo należytej kontroli. Wiecowi przewodniczył dr. Doliński.

Z zaboru rosyjskiego.

Kurczenie się ziemi polskiej. W dn. 27. z m. sprzedane zostały z licytacyi dobra Wojniuny w gub. Kowieńskiej obszaru 1,320 dzies. Dobra nabył Bank państwa za długi, którymi majątek był obciążony.

Kolonizacya Żmudzi. Kowieński Bank włościański rozwinął w ostatnich czasach gorączkową działalność koło wykupna ziemi. Z większych tranzakcyi należy zanotować: kupno maj. Dowołgowicz pod Kownem przestrzeni 1700 dzies. dóbr Naryszkinów w pow. szawelskim, obszaru 3 tys. dzies., maj. Anielina w pow. rosieńskim obszaru 1,500 dzies., oraz dóbr Olchowa w pow. kowieńskim obszaru 442 dzies. Wszystkie te majątki przeszły do Banku z rąk niepolskich: od Litwinów, Rosyan i żydów.

Ziemstwa na Litwie i Rusi. W dn. 10. b. m. Rada państwa przystąpiła do uchwalonego przez Dumę projektu ziemstw dla Litwy i Rusi, bez gub. Wileńskiej, Kowieńskiej i Grodzieńskiej. W czasie rozpraw poseł wołyński hr. Olizar przemawiał przeciw projektowi, uważając istniejący stan nieziemski za mniej szkodliwy, niż sfałszowane ziemstwa, które mając na celu szerzenie rosyjskości przyczyni się do wzniecenia nienawiści narodowościowej i polskiego szowinizmu(?). Hr. Olizar przypomniał, iż nieprawdą jest twierdzenie referenta projektu prawodawczego Stiszynskiego, jakoby Polacy korzystali z zupełnej swobody, bo do dziś dnia Polacy nie mają prawa nabywania ziemi od Rosyan, nie mogą otrzymywać pożyczek od Banku szlacheckiego i wykonywać wyborów szlacheckich. Przeciw projektowi przemawiał także hr. Witte ale nie dlatego, że projekt jest antypolski, tylko ze względu na ograniczenie udziału włościan w samorządzie, co właśnie przyczynić się, jego zdaniem, może do zachowania rosyjskości kraju.

Z zaboru pruskiego.

W Kole polskiem. Prezesem Koła Polskiego w Landtagu został wybrany 13 głosami na 18 obecnych posłów dr. Ludwik Mizerski. Stworzono stanowisko drugiego wiceprezesa, na które powołano pos. J. Sas-Jaworskiego. Do komisyi parlamentarnej w miejsce ś. p. X. Jażdżewskiego Koło powołało pos. Niegolewskiego.

W Reichstagu. W sprawie ustroju sądów, toczącej się obecnie w Reichstagu, Koło Polskie zgłosiło wniosek, zmierzający do ustanawiania sędziów znających język polski. Wniosek do § 187 brzmi, jak następuje: „Reichstag zechce uchwalić przyjęcie następującej rezolucyi: aby wezwać rządy zjednoczone do postarania się o to, by w obwodach z mieszaną pod względem języka ludnością, ustanowioną była dostateczna liczba sędziów władających językiem ludowym".

W Landtagu. W dn. 3. b. m. w czasie dyskusyi nad budżetem ministeryum sprawiedliwości pos. Trąmpczyński przedstawił postępowanie niemieckiego ciała sędziowskiego w Wielkopolsce, które podlega wpływom hakatystów, za co winę przedewszystkiem ponosi samo ministeryum, wydające okólniki, które nakazują sędziom popierania niemczyzny. Nazajutrz na wywody ministra, który starał się obalić twierdzenia pos. Trąmpczyńskiego, odpowiadał pos. Zygmunt Seyda.

Walka o ziemię. Jak donosi *Schles. Ztg* hr. Plater nabył od niemca za 1,380.000 mk maj. Matzdorf (?) obszaru 762 ha na pograniczu Śląska i W. Ks. Poznańskiego, w pow. kluczborskim.

Wydawca: **Dr. Adam Skałkowski.**
Odpowiedzialny redaktor: **Dr. Józef Browiński.**

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Sykstuska 46, ekspedycya ul. Murarska 31.

Drukarnia Ludowa we Lwowie, plac Bernardyński 7.